

**STEFAN
ŻEROMSKI**

LUDZIE

BEZDOMNI

Stefan Żeromski

Ludzie bezdomni

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55843562

Ludzie bezdomni:

Аннотация

Ludzie bezdomni to powieść Stefana Żeromskiego wydana w 1900 roku. Opowiada historię Tomasza Judyma, lekarza wywodzącego się z nizin społecznych, który poświęcił życie, by pomagać ubogim. Chęć całkowitego poświęcenia życia zawodowego i prywatnego pomocy najbiedniejszym jest powodem konfliktu, który zachodzi zarówno w środowisku lekarskim, jak i w samym Judymie. Okazuje się, że taka praca u podstaw niesie ze sobą o wiele więcej problemów, niż tylko bezpośrednie spotkanie z chorobami i skrajnie trudnymi warunkami. To także pytanie o to, czy Judym ma prawo do osobistego szczęścia – zwłaszcza że jego sercu nieobca staje się Joanna Podborska, młoda nauczycielka. Żeromski w swojej powieści zwraca uwagę nie tylko na dosłowną bezdomność, która dotyka ludzi, lecz także przenośną, związaną z nieumiejętnością odnalezienia siebie i swojego miejsca w życiu.

Содержание

Tom I	4
Wenus z Milo1	4
W pocie czoła	42
Mrzonki	78
Smutek	109
Praktyka	116
Конец ознакомительного фрагмента.	132

Stefan Żeromski

Ludzie bezdomni

Tom I

Wenus z Milo¹

Tomasz Judym wracał przez Champs Elysees z Łasku Bulońskiego, dokąd jeździł ze swej dzielnicy koleją obwodową. Szedł wolno, noga za nogą, wyczuwając coraz większy skutek upału ciężar własnej marynarki i kapelusza. Istny potop blasku słonecznego zalewał przestwór. Nad odległym widokiem gmachów rzucających się w oczy od Łuku Tryumfalnego wisiał różowy pyłek, który już począł wżerać się niby rdza nawet w śliczne, jasnozielone liście wiosenne, nawet w kwiatuszki paulowni². Z wszystkich, zdawało się, stron płynął zapach akacji. Na żwirze, dokoła pniów, pod budynkami, w rynsztokach leżały jej białe kwiatki z ośrodkiem czerwonym, jakby

¹ *Wenus z Milo* – starożytna rzeźba marmurowa z końca II w. p.n.e., przedstawiająca grecką boginię miłości Afrodytę (rzymska Wenus), znaleziona na wyspie Milo w r. 1820. Obecnie znajduje się w słynnym muzeum paryskim – Luwrze [przypis redakcyjny]

² *paulownia* – drzewo ozdobne, o wonnych fioletowych kwiatach. [przypis redakcyjny]

skrwawionym od ukłucia śmierci. Pył bezlitosny zasypywał je niepostrzeżenie.

Zbliżała się godzina spaceru wielkiego świata i pola drgać zaczynały od ruchu karet. Na drewnianym bruku dudnił jednostajny łoskot jakby oddalona mowa wielkiej fabryki. Przebiegały piękne, lśniące rumaki, migotała ich uprząż, pudła, sprychy lekkich pojazdów – i mknęły, mknęły, mknęły bez ustanku wiosenne stroje kobiece o barwach czystych, rozmaitych i sprawiających rozkoszne wrażenie, jakby natury dziewiczej. Kiedy niekiedy wynurzała się z powodzi osób jadących twarz subtelna, wydelikaccona, tak nie do uwierzenia piękna, że widok jej był pieszczotą dla wzroku i nerwów. Wyrywał z piersi tęskne westchnienie jak za szczęściem – i ginął unosząc je w mgnieniu oka ze sobą.

Judym znalazł pod osłoną kasztanów brzeg wolnej ławy i z wielką satysfakcją usiadł tam w sąsiedztwie starej i wąsatej niańki dwojga dzieci. Zdjął kapelusz i wlepiwszy wzrok w rzece pojazdów, walącą środkiem ulicy, z wolna wystygwał. Na chodnikach przybywało coraz więcej osób ubranych wykwintnie – lśniących cylindrów, jasnych paltotów i staników. W pewnej chwili stare babsko z chytrymi oczami wprowadziło między strojny tłum młode koźlątko z sierścią jak śnieg bielutką. Stado dzieci postępowało za koziołkiem uwielbiając go gestami, oczyma i tysiącem okrzyków. Kiedy indziej wielki obdartus czerwony na gębie przeleciał jak fiksat, wyrzaskując głosem ochryłym rezultat ostatniego biegu koni. I znowu spokojnie,

równy, uroczo płynęła rzeka ludzka na chodnikach, a środkiem rwał jej nurt bystry, uwieńczony pianą tkanin precudnych, lekkich, w oddali niebieskawozielonych...

Każdy rozpuszczony liść rzucał na biały żwir z okrągłych kamyków wyraźne odbicie swego kształtu. Cienie te posuwały się z wolna, jak mała wskazówka po białej tarczy zegara. Na ławkach było już pełno, a tymczasem cień opuścił miejsce zajęte przez Judyma i ustąpił je roztapiającej kaskadzie słońca. Naokół innego *asilum*³ nie było, więc doktor rad nierad wstał i powłókł się dalej ku placowi Zgody. Z niecierpliwością wyczekiwał, kiedy można będzie przemknąć się wskroś istnego odmetu karet, powozów, dorożek, bicyklów⁴ i pieszych na zakręcie głównej fali pędzącej od bulwarów w stronę Pól Elizejskich. Wreszcie stanął pod obeliskiem⁵ i poszedł w głąb ogrodu des Tuileries. Tam było prawie pusto. Tylko nad nudnymi sadzawkami bawiły się blade dzieci i w głównym szpalerze kilku mężczyzn rozebranych do koszuli grało w tenisa. Minąwszy ogród Judym zwrócił się ku rzece z zamiarem wędrowania w cieniu murów na placyk przed kościołem Saint-Germain-l’Auxerrois i ogarnięcia bez troski miejsca na imperiale⁶. W owej chwili stało w jego myśli puste kawalerskie mieszkanie aż na Boulevard Voltaire, gdzie od roku

³ *asilum* (łac.) – schronienie. [przypis redakcyjny]

⁴ *bicykl* – nazwa pierwszych rowerów. [przypis redakcyjny]

⁵ *obelisk* – mowa o słynnym obelisku egipskim, zdobiącym plac Zgody w Paryżu [przypis redakcyjny]

⁶ *imperial* – górna, otwarta część omnibusu. [przypis redakcyjny]

nocował, i mierziło go pustką swych ścian, banalnością sprzętów i nieprzewyciężoną, cudzoziemską nudą wiejącą z każdego kąta. Pracować mu się nie chciało, iść do kliniki – za, nic na świecie.

Znalazł się na Quai du Louvre i z uczuciem błogości w karku i plecach zatrzymał pod cieniem pierwszego kasztana bulwaru. Ospałym wzrokiem mierzył brudną, prawie czarną wodę Sekwany. Gdy tak sterczał na podobieństwo latarni, zapaliła się w nim myśl, jakby z zewnątrz wniesiona do wnętrza głowy: „Dlaczegoż, u licha, nie miałbym pójść do tego Luwru? ...”

Skręcił na miejscu i wszedł na wielki dziedziniec. W cieniach przytulonych do grubego muru, w które zanurzył się niby w głębie wody, dotarł do głównego wejścia i znalazł się w chłodnych salach pierwszego piętra. Dokoła stały odwieczne posągi bogów, jedne wielkości niezwyklej, inne naturalnej, a wszystkie prawie z nosami i rękoma uszkodzonymi w sposób bezbożny. Judym nie zwracał uwagi na tych zdegradowanych władców świata. Czasami zatrzymywał się przed którymś, ale przeważnie wówczas, gdy go uderzył jakiś zabawny despekt boskich kształtów. Nade wszystko interesowała go sprawa odpoczynku w doskonałym chłodzie i z dala od wrzawy ulicy paryskiej. Szukał też nie tyle arcydzieł, ile ławki, na której by mógł usiąść. Zdybał ją po długiej wędrówce z sali do sali w narożnym zetknięciu się dwu długich galerii, przeznaczonym na schronienie dla Wenus z wyspy Melos.

W zakątku tworzącym jakby niewielką izbę, oświetloną

jednym oknem, stoi na niewysokim piedestale tors białej Afrodyty. Sznur owinięty czerwonym pluszem nikomu do niej przystępu nie daje. Judym widział już był ten cenny posąg, ale nie zwracał nań uwagi, jak na wszelkie w ogóle dzieła sztuki. Teraz zdobywszy w cieniu pod ścianą wygodną ławeczkę jął dla zabicia czasu patrzeć w oblicze marmurowej piękności. Głowa jej zwrócona była w jego stronę i martwe oczy zdawały się patrzeć. Schylone czoło wynurzało się z mroku i, jakby dla obaczenia czegoś, brwi się zsunęły. Judym przyglądał się jej nawzajem i wtedy dopiero ujrzał małą, niewidoczną fałdę między brwiami, która sprawia, że ta głowa, że ta bryła kamienna w istocie – myśli. Z przenikliwą siłą spogląda w mrok dokoła leżący i rozdziera go jasnymi oczyma. Zatopiła je w skrytości życia i do czegoś w nim uśmiech swój obraca. Wyteżywszy rozum nieograniczony i czysty, posiadała wiadomość o wszystkim, zobaczyła wieczne dnie i prace na ziemi, noce i łązy, które w ich mroku płyną. Jeszcze z białego czoła bogini nie zdążyła odejść mądra o tym zaduma, a już wielka radość dziewicza pachnie z jej ust rozmarzonych. W uśmiechu ich zamyka się wyraz uwielbienia. Dla miłości szczęśliwej. Dla uczestnictwa wolnego ducha i wolnego ciała w życiu bezgrzesznej przyrody. Dla ostrej potęgi zachwyty zmysłów, którego nie stępiły jeszcze ani praca, ani zgryzota, siostry rodzone, siostry nieszczęsne. Uśmiech bogini pozdrawia nadchodzącego z daleka. Oto zakochała się w pięknym śmiertelniku Adonisie⁷... Cudne marzenia pierwszej

⁷ *Adonis* (mit. gr.) – niezwyklej urody młodzieniec, w którym zakochała się

miłości rozkwitły w łonie jej jako kwiat siedmioramienny amarylisa. Barki jej wąskie, wysmukłe, okrągłe dźwignęły się do góry. Dziewicze łono drży od westchnienia... Długi szereg wieków, który odtrącił jej ręce, który zrabował jej ciało od piersi i zorał prześliczne ramiona szczerbami, nie zdołał go zniweczyć. Stała tak w półmroku „wynurzająca się”, Anadiomene⁸, niebiańska, która roznieca miłość. Obnażone jej włosy związane były w piękny węzeł, *krobylos*. Podłużna, smągła twarz tchnęła nieopisanym urokiem.

Gdy Judym wpatrywał się coraz uważniej w to czoło zamyślane, dopiero zrozumiał, że ma przed sobą wizerunek bogini. Była to Afrodite, ona sama, która się była poczęła z piany morskiej. I mimo woli przychodziła na myśl nieskromna legenda o przyczynie onej piany wód za sprawą Uranosa⁹. A przecież nie była to Pandemos¹⁰, nie była nawet żona Hefajstowa ani kochanka Anchizesa¹¹, a tylko jasny i dobry symbol życia, córka

Afrodyta; gdy zginął na polowaniu rozdarty kłami dzika, bogini uprosiła Zeusa, aby wyprowadził duszę kochanka z Hadesu i oblekł ją w dawne piękne ciało; odtąd Adonis sześć miesięcy spędzał przy Afrodycie, pozostałą część roku w świecie umarłych. [przypis redakcyjny]

⁸ *Anadiomene* (mit. gr.) – wynurzająca się; jeden z przydomków Afrodyty, nawiązujący do legendy, według której bogini miała się narodzić z piany morskiej. [przypis redakcyjny]

⁹ *Uranos* (mit. gr.) – Uranos (Niebo) i Gaja (Ziemia) stanowili pierwszą parę bogów. [przypis redakcyjny]

¹⁰ *Pandemos* (mit. gr.) – „należąca do całego ludu”, przydomek Afrodyty jako opiekunki wolnej miłości. [przypis redakcyjny]

¹¹ *żona Hefajstowa... kochanka Anchizesa* (mit. gr.) – Afrodyta była żoną gr. boga

nieba i dnia...

Judym zatonął w myślach i nie zwracał uwagi na osoby, które się obok niego przesuwały. Było ich zresztą mało. Ocknął się dopiero wówczas, gdy usłyszał w sąsiedniej sali kilka zdań wyrzeczonych po polsku. Zwrócił głowę z żywą niechęcią w stronę tego dźwięku, pewny, że zbliża się ktoś „z kolonii”, ktoś, co siądzie przy nim i zabierze na własność minuty rozmyślenia o pięknej Wenus. Zdziwił się mile, zobaczywszy osoby „pozaparyskie”. Było ich cztery. Na przedzie szły dwie panienki – podlotki, z których starsza mogła mieć lat siedemnaście, a druga była o jakie dwa lata młodsza. Za nimi ciężko toczyła się dama niemalej wagi, wiekowa, z siwymi włosami i dużą a jeszcze piękną twarzą. Obok tej matrony szła panna dwudziestokilkuletnia, ciemna brunetka z niebieskimi oczami, prześliczna i zgrabna. Wszystkie stanęły przed posągiem i w milczeniu go rozpatrywały. Słysząc było tylko ciężkie, przytłumione sapanie starej damy, szelest jedwabiu odzywający się za każdym ruchem podlotków i chrzęst kart Badeckera¹², które przewracała starsza panna.

– Wszystko to pięknie, moje serce – rzekła matrona do ostatniej – ale ja muszę usiąść. Ani kroku! Zresztą warto popatrzeć na tę imość. Tak... jest tu nawet ławeczka.

Judym wstał ze swego miejsca i wolno odszedł kilka kroków

ognia i sztuki kowalskiej, Hefajstosa, a także kochanką Anchizesa, ojca Eneasza.
[przypis redakcyjny]

¹² *Badecker* – pot. bedeker; przewodnik dla zagranicznych turystów (od nazwiska wydawcy K. Badeckera). [przypis redakcyjny]

na bok, jak gdyby dla obejrzenia biustu z innej strony. Te panie spojrzały sobie w oczy z wyrazem pytania i przyciszyły rozmowę. Tylko najstarsza z panien, zajęta Badeckerem, nie widziała Judyma. Otyła babcia energicznie usiadła na ławce, wyciągnęła nogi ile się dało, i na jakieś szepty młodych towarzyszek odpowiadała również szeptem właściwym starym paniom, który ma tę własność, że w razie potrzeby może zastąpić telefonowanie na pewną odległość:

– A, Polak nie Polak, Francuz nie Francuz, Hiszpan czy Turek, to mi jest wszystko jedno. Niech mu Bóg da zdrowie za to, że stąd wylazł. Nogi mi odjęło z kretesem... A teraz patrz jedna z drugą na tę, bo to przecie nie byle co. Już ją człowiek raz widział dawnymi czasy. Jakoś mi się wtedy inna wydała...

– A bo to pewno inna... – rzekła młodsza z turystek.

– Nie myśl no o tym, czy inna, czy nie inna, tylko się przypatrz. Spytają później w salonie o taką rzecz, a ty ni be, ni me...

Druga panienska bez zachęty obserwowała Wenus w sposób zadziwiający. Była to śniada blondynka z twarzą o cerze mętnej, smagławej. Czoło miała dość wąskie, nosek prosty, wargi cienkie i zawarte. Nie można było określić, czy jest ładna, czy brzydka. Wywieriała wrażenie śniącej czy rozmarzonej, bo powieki miała prawie przymknięte.

Judyma zaciekała ta twarz, więc stanął i nieznacznie ją śledził. Patrzyła na marmurowe bóstwo od niechcienia, a jednak z takim wyrazem, jakby go się uczyła na pamięć, jakby je spod oka wzrokiem chłoneła. Kiedy niekiedy wąskie i płaskie

jej nozdrza rozszerzały się lekko od szybkiego westchnienia. W pewnej chwili Judym zauważył, że powieki spuszczone z nabożeństwem i dziewiczą skromnością dźwignęły się ociężale i źrenice dotąd zakryte widzą nie tylko Wenus, ale i jego samego. Zanim wszakże zdążył zobaczyć barwę tych oczu, już się skryły pod rzęsami.

Tymczasem najstarsza z panien odczytała cały rozdział o historii posągu i zbliżyła się do pluszowego sznura. Oparłszy na nim ręce zaczęła przyglądać się rzeźbie z ciekawością, entuzjazmem i oddaniem się, właściwym tylko niewiastom. Można by powiedzieć, że w owej chwili przystępowała do zobaczenia Wenus z Milo. Oczy jej nie były w stanie nic prócz posągu zauważyć, pragnęły i usiłowały zliczyć wszystkie piękności, wszystkie cechy dłuta Skopasa¹³... o których mówił Bader, spamiętać je i ułożyć w głowie systematycznie jak czystą bieliznę w kufrze podróżnym. Były to oczy szczerze aż do naiwności. Zarówno jak cała twarz odzwierciedlały subtelne cienie myśli przechodzących, oddawały niby wierne echo każdy dźwięk duszy i wszystko mówiły bez względu na to, czy kto widzi lub nie, ich wyraz.

Judym po kilkuminutowej obserwacji tej twarzy nabrał przekonania, że gdyby piękna panna pragnęła szczerze zataić otrzymane wrażenie, mowa oczu natychmiast je wyda. Stał

¹³ *Skopas* – słynny rzeźbiarz gr., żyjący na przełomie IV i III w. p.n.e.; mylnie przypisywano mu autorstwo posągu Afrodyty, znalezionej na wyspie Milo (tzw. Wenus z Milo). [przypis redakcyjny]

w cieniu i przyglądał się grze uczuć przesuwających się po jasnej twarzy. Oto mało wiedząca ciekawość... Oto pierwszy promyczek wrażenia sunie się po brwiach, przyciska rzęsy i zmierza ku wargom, ażeby je zgiać do miłego uśmiechu. Te same uczucia, które Judym przed chwilą miał w sobie, widział teraz na licach nieznajomej. Sprawiało mu to szczerą przyjemność. Rad by był zapytał, czy się nie myli, i usłyszał z pięknych ust wynurzenie wrażeń. Nigdy jeszcze w życiu nie doświadczał takiej chęci rozmawiania o sztuce i słuchania z pilnością, co sądzi o ulatujących wrażeniach drugi człowiek...

Tymczasem ów drugi człowiek, zajęty statua, na śledztwo ani na badacza żadnej uwagi nie zwracał.

– Pamiętam – rzekła dama w wieku – inną grupę z marmuru. Była to jakaś scena mitologiczna. Geniusz czy amerek ze skrzydłami całuje śliczne dziewczątko. Jest to może cokolwiek niewłaściwe dla was, moje sroki, ale tak piękne, tak urocze, tak *agréable*¹⁴, tak *sensible*¹⁵...

Najstarsza z panien podniosła głowę i, wysłuchawszy całego zdania z uwagą, rzekła przerzucając kartki:

– Coś tu zauważyłam... *L'Amour et Psyché*... Antoine Canova¹⁶. Czy to nie to?

¹⁴ *agréable* (fr.) – przyjemny. [przypis redakcyjny]

¹⁵ *sensible* (fr.) – tu: przemawiający do uczucia. [przypis redakcyjny]

¹⁶ *Canova, Antoine* (1757–1822) – słynny rzeźbiarz włoski; mowa tu o jego rzeźbie przedstawiającej mitologicznych kochanków: boga miłości Amora i królową Psyche. [przypis redakcyjny]

– A może i Psyche. Tylko że waham się, czy wam to pokazać – dodała ciszej.

– W Paryżu! Jesteśmy teraz w Paryżu! Musimy umoczyć wargi w pucharze rozpusty... – szepnęła brunetka do starej damy w sekrecie przed młodszymi towarzyszkami.

– A co mię tam ty obchodzisz! Ty sobie oczy wypatruj na wszelkie Amory malowane i rzeźbione, ale te oto...

– Babcia myśli, że my rozumiemy cokolwiek... – rzekła z przepyszną miną najmłodsza. – Nie wiem tylko, po co tyle czasu tracić na oglądanie tych rozmaitych korytarzy z obrazami, kiedy na ulicach jest tak bosko, taki Paryż!

– Ależ, Wando... – jęknęła brunetka.

– No, pani to rozumie, a ja zupełnie nic! Co w tym jest ciekawego? Wszelkie te muzea i zbiory zawsze mają w sobie coś z trupiarni, tylko że są jeszcze nudniejsze. Na przykład... Cluny¹⁷. Jakieś doły, pieczary, kawałki odrapanych murów, cegły, nogi, ręce, gnaty...

– Cóż ty mówisz?

– No więc nie? Weźmy Carnavalet¹⁸... Piszczele, paskudne, zakurzone truposze, stare rupiecie spod kościołów. W dodatku trzeba koło tego chodzić z miną uroczystą, nadętą, obok każdej rzeczy stać kwadrans, udając, że się patrzy. Albo i tutaj: obrazy,

¹⁷ Cluny – pałac w Paryżu (z XV w.) należący do opactwa w Cluny; mieści się w nim słynne muzeum, zawierające bogate zbiory z zakresu rzemiosła i sztuki stosowanej, większość pochodzi z XIV, XV i XVI w. [przypis redakcyjny]

¹⁸ Carnavalet – muzeum historyczne Paryża, zawierające cenne zbiory z okresu rewolucji 1789 r. [przypis redakcyjny]

obrazy i obrazy bez końca. No i te figury...

– Moje dziecko – wtrąciła babka – są to arcydzieła, że tak powiem...

– Wiem, wiem... arcydzieła. Ale przecież wszystkie obrazy są do siebie podobne jak dwie krople wody: wylakierowane drzewa i gołe panny z takimi tutaj...

– Wando! – krzyknęły wszystkie trzy towarzyszki z przestrachem, oglądając się dokoła.

Judym nie wiedział, co czynić ze swoją osobą. Rozumiał, że należałoby wyjść, aby nie słuchać mowy osób, które nie wiedzą, że jest Polakiem, ale żal mu było. Czuł w sobie nie tylko chęć, ale nawet odwagę wmieszania się do tej rozmowy. Stał bezradnie, wytrzeszczonymi oczyma patrząc przed siebie.

– No to chodźmy do tego *Amora i Psyche*... – rzekła stara dama dźwigając się z ławeczki. – Tylko gdzie to jest – wbij zęby w ścianę...

– Niech babcia nie zapomina, że dziś jeszcze raz miałyśmy być w tamtym prawdziwym Luwrze¹⁹.

– Cicho mi bądź! Czekajcie no... Gdzież jest ów Canova? Pamiętam, byliśmy tam z Januarym... Szło się jakoś... Zaraz...

– Jeżeli panie pozwolą, to wskażę im najbliższą drogę do Amora... to jest... Antoniego Canovy... – rzekł dr Tomasz zdejmując kapelusz i zbliżając się wśród ukłonów.

Na dźwięk mowy polskiej w jego ustach wszystkie trzy

¹⁹ w *tamtym prawdziwym Luwrze* – chodzi o magazyn noszący tę nazwę, mieszczący się przy ul. Tivoli. [przypis redakcyjny]

dziewice odruchowo zbliżyły się do starej damy, jakby się przed zbójcą chroniły pod jej skrzydła.

– Aa... – odezwała się babka wznosząc głowę i mierząc młodego człowieka okiem dość niechętnym. – Dziękuję, bardzo dziękuję...

– Panie darują, że gdy się słyszy... W Paryżu tak rzeczywiście... bardzo, bardzo rzadko... – plótn Judym tracąc pewność nóg i języka.

– Pan stale w Paryżu? – spytała ostro.

– Tak. Mieszkam tu od roku. Więcej niż od roku, bo jakieś piętnaście miesięcy... Nazywam się... Judym. Jako lekarz studiuję tutaj pewne... To jest właściwie...

– Więc mówi pan, że jako lekarz?...

– Tak jest – mówił dr Tomasz, oburącz chwytając się wątki rozmowy, pomimo że wyciągała na wierzch kwestie dotyczące się jego osoby, których nie znosił. – Skończyłem medycynę w Warszawie, a obecnie pracuję tutaj w klinikach, w dziedzinie chirurgii.

– Miło mi poznać pana doktora... – cedziła dama dość oziębłe. – My wojażujemy, jak pan widzi, we czwórkę, z kąta w kąta. Niewadzka... To moje dwie wnuczki, sieroty, Orszeńskie, a to ich i moja najmilsza przyjaciółka, panna Joanna Podborska.

Judym kłaniał się jeszcze z wrodzonym plątaniem się nóg, gdy pani Niewadzka rzekła z akcentem żywego interesu w tonie mowy:

– Znałam, tak, nie mylę się, kogoś tego nazwiska, pana

Judyma czy pannę Judymównę, na Wołyniu bodaj... zdaje się, że to tak, na Wołyniu... A pan z jakich okolic?

Dr Tomasz rad by był udać, że nie słyszy tego pytania. Gdy jednak pani Niewadzka zwróciła ku niemu wejrzenie, mówił:

– Ja pochodzę z Warszawy, z samej Warszawy. I z bardzo byle jakich Judymów...

– Dlaczegoż to?

– Ojciec mój był szewcem, a w dodatku lichym szewcem na Ciepłej ulicy. Na Ciepłej ulicy... – powtórzył z kłującą satysfakcją. Uniknął wreszcie chwiejnego gruntu i grzecznych delikatności, w czym nie był mocny i czego się w przesadny sposób obawiał. Panie umilkły i posuwały się z wolna, równolegle, szeleszcząc sukniami.

– Bardzo się cieszę, bardzo... – mówiła spokojnie pani Niewadzka – że miałam sposobność zawarcia tak miłej znajomości. Więc pan zbadał tutaj wszelkie dzieła sztuki? Zapewne, mieszkając stale w Paryżu... Jesteśmy bardzo obowiązane...

– *Amor i Psyche* będzie chyba w innym gmachu – rzekła panna Podborska.

– Tak, w innym... Wyjdziemy na dziedziniec.

Gdy tam stanęli, pani Niewadzka zwróciła się do Judyma i z imitacją uprzejmości rzekła:

– Tak ostro pan wymienił zatrudnienie swego ojca, że czuję się prawdziwie upokorzona. Zechce mi pan wierzyć, że nie miałam intencji pytaniem o jakieś tam koligacje sprawić

mu przykrości. Po prostu nałóg starej baby, która długo żyła i dużo ludzi na świecie widziała. Miło jest, to prawda, zetknąć się z człowiekiem, którego osoba mówi o dawnych rzeczach, ludziach, stosunkach, ale o ileż przyjemniej, o ileż... przyjemniej...

– Ojciec pana, ten szewc, robił damskie obuwie czy męskie kamasze? – zapytała przymrużając oczy młodsza z pańien Orszeńskich.

– Trzewiki, głównie trzewiki, w dość odległych jedna od drugiej chwilach przytomności, najczęściej bowiem robił po pijanemu awantury, gdzie się dało.

– No, to już zupełnie w głowie mi się nie mieści, jakim cudem pan został lekarzem, i do tego – w Paryżu!

Panna Podborska cisnęła na mówiącą spojrzenie pełne rozpaczliwego wstydu.

– W tym, co nam pan o sobie wyznał – rzekła stara jejmość – widzę dużo, dużo odwagi. Doprawdy, że po raz pierwszy zdarzyło mi się słyszeć taką mowę. Proszę pana doktora, jestem stara i różnych ludzi widziałam. Ile razy zdarzyło mi się obcować z... indywiduami nie należącymi do towarzystwa, z osobami... jednym słowem, z ludźmi pochodzącymi ze stanów zwanych – słusznie czy niesłusznie, w to nie wchodzę – gminem, to zawsze ci panowie usiłowali starannie ominąć kwestię swego rodowodu. Znałam co prawda i takich – mówiła jakby z pewnym zadumaniem – którzy w jakimś okresie życia, zwykle w młodości, przyznawali się z emfazą do swego stanu

kmiecego czy tam do czegoś, a później nie tylko że ta ich demokratycznie-chępliwa prawdomówność szła sobie na bory, na lasy, ale prócz tego miejsce jej zajmowały jakieś herby przyklepione do drzwiczek karety, jeśli ją fortuna postawiła przede drzwiami mieszkania.

Judym uśmiechnął się szyderczo, kilka kroków szedł w milczeniu, a później zwrócił się do panny Podborskiej z pytaniem:

– Jakież wrażenie zrobiła na pani Wenus z Milo?

– Wenus... – rzekła brunetka, jakby ją to pytanie zbudziło ze snu przykrego. Twarz jej oblał rumieniec, wnet znikł i skupił się w prześlicznych ustach, które nieznacznie drgały.

– Ma caluteńkie plecy poszarpane, jakby ją kto przez cztery dni z rzędu prał ekonomicznym batem... – rzekła kategorycznie panna Wanda.

– Prześliczna... – półgłosem wymówiła panna Natalia, zwracając w stronę Judyma swe matowe oczy. Drugi raz doktor miał możliwość spojrzeć w te oczy i znowu krótko gościło we wszystkich władzach jego duszy nieuchwytnie zatrwożenie. We wzroku tej dziewczyny było coś, jakby zimny, niepołyskujący blask księżyca, kiedy nad senną ziemią tarcza jego we mgłach się kryje.

Panna Podborska ożywiła się i zaraz twarz jej ukazała wewnętrzne wzruszenie.

– Jakaż ona piękna! jakaż prawdziwa! Gdybym w Paryżu mieszkała, przychodziłbym do niej... no, milion nie milion, ale

co tydzień, żeby się napatrzeć. Grecy w ogóle stworzyli świat bogów tak cudowny... Goethe...

Usłyszawszy wyraz „Goethe” Judym doznał niesmaku, czytał bowiem z tego poety coś, a nadto niegdyś.

Los zdarzył, że stara dama zatrzymała się w przedsionku prowadzącym do sali *Amora i Psyche* – i niemym znakiem w dużych bladych oczach pytała Judyma o drogę. Kiedy się znalaziono w obliczu wygłaskanej grupy, owego malowidła w białym marmurze, wszyscy umilkli. Judym ze smutkiem myślał, że właściwie rola jego już się skończyła. Czuł, że wyrwawszy się z wiadomością o papie z Ciepłej nie może towarzyszyć tym paniom i szukać ich znajomości. Znowu w umyśle jego przesunął się pokój „na Wolterze”²⁰ i stara, wstrętna żona *concierge’a*²¹ ze swymi wiekuistymi pytaniami bez sensu. W chwili kiedy najbardziej nie wiedział, co czynić, i nie był pewny, w jaki sposób wypada się rozstać, pani Niewadzka jakby zgadując, o czym myśli, rzekła:

– Wybieramy się do Wersalu²². Chciałybyśmy zobaczyć okolice, być po drodze w Sevres²³, w Saint-Cloud²⁴... Te

²⁰ *na Wolterze* – na bulwarze Woltera. [przypis redakcyjny]

²¹ *Concierge* (fr.) – dozorca. [przypis redakcyjny]

²² *Wersal* – wspaniały pałac i park pod Paryżem, z epoki Ludwika XIV, stanowił do r. 1789 rezydencję królów fr.; od czasów Ludwika Filipa znajduje się tam muzeum historyczne. [przypis redakcyjny]

²³ *Sevres* – miasteczko pod Paryżem, w którym mieściła się słynna fabryka porcelany. [przypis redakcyjny]

²⁴ *Saint-Cloud* – daw. rezydencja cesarza Napoleona III; ogromny park, otaczający

wartogłowy pędziłyby z miejsca na miejsce dzień i noc, a ja formalnie upadam. Czy jeździłeś pan do Wersalu? Jak wygodniej? Koleją? Piszą tu o jakimś tramwaju pneumatycznym²⁵. Czy to co lepszego niż pociąg?

– W Wersalu byłem dwa razy tym właśnie tramwajem, który wydał mi się bardzo dogodny. Idzie wprawdzie wolno, pewnie dwa razy wolniej niż wagon kolejowy, ale za to daje możliwość obserwowania okolicy i Sekwany.

– A więc jedziemy tramwajem! – zawyrokowała panna Wanda.

– O której–że godzinie wychodzi stąd ten *czupirak*?

– Nie pamiętam, proszę pani, ale to tak łatwo się dowiedzieć. Stacja główna mieści się tuż obok Luwru. Jeżeli panie pozwolą...

– O! czyliż śmiałybyśmy pana trudzić...

– Ale dowie się pan, co to szkodzi, moja babciu. Pan tutejszy, paryżanin... – deklamowała panna Wanda odrobinę parodiując ton mowy Judyma.

Tomasz kłaniając się odszedł i zadowolony, jakby mu się przytrafiło coś niesłychanie pomyślnego, biegł pędem ku stacji tramwajowej na Quai du Louvre. W mgnieniu oka wyszukał konduktora, wbił sobie w głowę wszystkie godziny oraz minuty i wracał prostując się co chwila i poprawiając krawat... Kiedy zawiadamiał te panie o terminie odjazdu i udzielał im

pałac królewski, stał się dla paryżan popularnym miejscem wycieczek. [przypis redakcyjny]

²⁵ *tramwaj pneumatyczny* – daw. typ tramwaju poruszanego sprężonym powietrzem. [przypis redakcyjny]

wskazówek, jak się kierować w Wersalu, panna Wanda wypaliła:

– A więc jedziemy do Wersalu. Bagatela! Do samego Wersalu... Jedziemy tramwajem jakimś tam – a pan z nami.

Zanim Judym zdołał zebrać myśli, dodała:

– Już babcia orzekła, że *malgré tout*²⁶ i może pan jechać...

– Wanda! – z rozpaczą prawie zgrzytnęła pani Niewadzka rumieniąc się jak dziewczątka. Po chwili zwróciła się do Judyma i usiłowała wywołać przyjazny uśmiech na drżące jeszcze wargi:

– Widzi pan, co to za diabeł czubaty, choć już dopomina się o długą suknię...

– Czy istotnie pozwoliłyby panie towarzyszyć sobie do Wersalu?

– Nie śmiałabym prosić pana, bo to może przerwie zajęcia, ale byłoby nam bardzo przyjemnie.

– Bynajmniej... Byłbym wielce szczęśliwy... Tak dawno... – bąkał Judym.

– Panie, o dziesiątej! – rzekła do niego panna Wanda z palcem wzniesionym do góry i wykonywując oczami cały szereg plastycznych znaków porozumienia.

Doktor już lubił tę dziewczynę zupełnie jak dobrego koleżkę, z którym można paplać bez miary o wszystkich rzeczach i niektórych innych. Trzy osoby starsze od panny Wandy zachowywały niezgrabne milczenie. Judym czuł, że wtargnął do towarzystwa tych pań. Rozumiał swą niższość społeczną i to, że jest w tej samej chwili szewskim synem tudzież aspirantem

²⁶ *malgré tout* (fr.) – mimo wszystko. [przypis redakcyjny]

do „towarzystwa”. Odróżniał w sobie te obydwie substancje i do krwi gryzł dolną wargę.

Po obejrzeniu medalionów Davida d’Angers²⁷, z których kilka wniosło do serc obecnych coś jak gdyby modlitwę, wycofano się z muzeum na dziedziniec, a stamtąd na ulicę.

Stara pani przywołała fiakra i oświadczyła swoim pannom, że jadą do sklepów. Judym pożegnał je z elegancją, której w tym właśnie momencie pierwszy raz w życiu zażywał – i oddalił się. Na piętrze omnibusu dążącego w stronę Vincennes wpadł w głębokie i misterne rozmyślania. Było to w jego życiu zdarzenie kapitalne, coś w rodzaju otrzymania patentu albo fabrykacji pierwszej samoistnej recepty. Nigdy jeszcze nie zbliżał się do takich kobiet. Mijał je tylko nieraz na ulicy, widywał czasem w powozach i marzył o nich z nieugaszoną tęsknotą, w skrytości ducha, do której nie ma przystępu myśl kontrolująca. Jakże często, będąc uczniem i studentem, zazdrościł lokajom ich prawa przypatrywania się tym istotom cielesnym, a przecież tak podobnym do cudnych kwiatów zamkniętych w czarownym ogrodzie. Zarazem przyszły mu na myśl jego kobiety: krewne, znajome, kochanki... Każda mniej lub więcej podobna do mężczyzny z ruchów, z ordynarności, z instynktów. Myśl o tym była tak wstrętą, że przymknął oczy i z najgłębszą radością słuchał szelestu sukien, którego jeszcze

²⁷ *David d’Angers, Jean Pierre (1788–1856)* – rzeźbiarz fr., znakomity portrecista; wykonał m.in. znany z licznych reprodukcji medalion z podobizną Mickiewicza. [przypis redakcyjny]

uszy jego były pełne. Każdy bystry ruch nogi wysmukłych panien był jak drgnienie muzyczne. Połyski ślicznych mantylek, rękawiczek, lekkich krez otaczających szyje, rozniecały w nim jakieś szczególne, nie tyle namiętne, ile estetyczne wzruszenie.

Nazajutrz wstał wcześniej niż zwykle i z wielkim krytycyzmem zbadał swą garderobę we wszelkich jej postaciach. Około dziewiątej wyszedł z domu; a że czasu było jeszcze aż nadto, postanowił iść piechotą.

Przeciskając się wśród tłumu rozmyślał o dyskursie, jakim bawić będzie te panie, układał w myśli całe dialogi nad wyraz wdzięczne, a nawet flirtował w imaginacji, co aż do owej chwili pocztywał był za plugastwo. Przy stacji tramwajów było pusto. Judym zatrzymał się pod jednym z drzew i pełen niepokoju oczekiwał przybycia wczorajszych znajomych. Co chwila rozlegał się ryk statków nurzających się w falach Sekwany, wrzał turkot omnibusów na mostach i przyległych ulicach. Po tamtej stronie rzeki wybiła gdzieś czystym dźwiękiem godzina dziesiąta. Judym słuchał tego głosu jakby uroczystego słowa zapewnienia, że piękne istoty nie przyjdą, że nie przyjdą dlatego mianowicie, że on ich oczekuje. On, Tomasz Judym, Tomek Judym z Ciepłej ulicy.

Stał tak, patrząc na szarą, ciężką wodę i szeptał do siebie:
– Ulica Ciepła, ulica Ciepła...

Było mu nad wszelki wyraz głupio, jakoś niesmacznie i gorzko. W dalekim krańcu przelotnego wspomnienia snuł się obraz brudnej kamienicy...

Podniósł głowę i otrząsnął się. Obok niego przesuwali się ludzie wszelkiego typu, a między innymi wędrowny herold „Intransigeanta”²⁸ dźwigający na wysokim drągu treść ostatniego numeru tej gazety przyklejoną do poprzecznej deski. W owej chwili roznosiciel spuścił ogłoszenie na dół, wsparł się na jego kij i gawędził ze znajomym. Tytuł gazety skojarzył się w umyśle Judyma z przeróżnymi myślami, w których szeregu błąkało się uprzykrzone, niemiłe, bolesne prawie pojęcie: ulica Ciepła, ulica Ciepła...

O rodzinie swej, o warunkach, w jakich żywot jej upływa, myślał w owej chwili niby o czymś niezmiernie obcym, niby o typie pewnej rodziny małomieszczańskiej, która nędzną egzystencję swoją pędziła za panowania króla Jana Kazimierza. Te damy, które zobaczył dnia poprzedniego, stały się dlań tak szybko istotami bliskimi, siostrzanymi, przez wykwintność swych ciał, sukien, ruchów i mowy. Żał mu było, że nie przychodzą, i prawie nieznośnie na samą myśl, że mogą nie przyjść wcale. Jeżeli tak będzie, to dlatego, że z tych szewców wiedzie swój „rodowód...”

Postanowił jechać do Wersalu, ukłonić się im z daleka i wyminąć... Cóż go mogą obchodzić jakieś panny z arystokracji „czy tam z czego”? Chciałby tylko zobaczyć raz jeszcze, przyjrzeć się, jak toto chodzi, jak patrzy na byle obraz

²⁸ „Intransigeant” – „Nieprzejednany”, dziennik wychodzący w Paryżu od r. 1880 do r. 1940, reprezentował początkowo poglądy republikańskie, później wyraźnie prawicowe i nacjonalistyczne. [przypis redakcyjny]

ciekawymi oczami...

„Juścić – myślał gapiąc się na wodę – juścić jestem cham, to nie ma co... Czyliż umiem się bawić, czym kiedy pomyślał o tym, jak należy się bawić? Grek połowę życia przepędzał na umiejętniej zabawie. Włoch średniowieczny udoskonalił sztukę próżnowania, to samo takie kobiety... Ja bym się zabawił na wycieczce, ale z kim? Z kobietami mego stanu, z jakimiś, przypuszczam, pannami «miastowymi», ze studentkami, z białogłowami jednym słowem, co się nazywa. Ale z tymi! To jest tak jakby wiek dziewiętnasty, podczas kiedy ja żyję jeszcze z prapradziadkami na początku osiemnastego. Nie posiadam sztuki rozmawiania, zupełnie jakby pisarz prowentowy chciał układać dialogi *a là* Lukian²⁹ dlatego, że umie pisać piórem... Nie bawiłbym się, tylko bym dbał, żeby nie zrobić czegoś z szewska. Może to i lepiej... Ach, jak to dziwnie... Każda z tych bab tak jakoś żywo interesuje człowieka, każda, nawet ta stara, to istota nowoczesna, wyobrazicielka tego, co tytułujemy kulturą. A ja, cóż ja... szewczyzna...”

– Nie powiedziałaś, że doktorek będzie już na nas czekał! – zawołała tuż za nim panna Wanda.

Judym odwrócił się prędko i ujrzał przed sobą wszystkie cztery znajome. Twarze ich były wesołe. Wśród miłej rozmowy panie wdrapały się na imperial, Judym z precyzją windował tam babcię. Gdy się znalazły tak wysoko, przed oczyma ich ukazała

²⁹ *dialogi a là Lukian* – Lukian z Samosaty (II w.n.e.), gr. pisarz i filozof, był autorem dzieł: *Dialogi bogów* i *Dialogi umarłych*. [przypis redakcyjny]

się ruchliwa toń Sekwany. Pędziła między granitowymi brzegi zdyszana, udręczona, jakby w ostatnim wysiłku robiła bokami. Nieczysta, zgęstniała, bura, prawie ciemna woda, w której chlupały parostatki rycząc co chwila, sprawiała smutne wrażenie, jak niewolnica, której szczupłe ręce obracają ciężkie żarna.

– Jaka mała, jaka wąska... – mówiła panna Joanna.

– Phi!... wygląda jak wnuczka Wisły!

– Zupełna karykatura Izary³⁰... – rzekła panna Natalia.

– To prawda! Panno Netko, pamięta pani Izarkę, Izunię naszą jasnozieloną, czystą jak łąka... – unosiła się panna Wanda.

– Ech, jak łąka... – wtrącił Judym.

– Co, nie wierzy pan! Babciu, ten pan formalnie wyznał, że nie wierzy w czystość Izary.

– Rzeczywiście, jakaż to okropna woda! – mówiła wiekowa dama usiłując zamazać co prędzej ostatnie słowa panny Wandy, które nie wiedzieć czemu wywołały rumieniec jak przelotny obłoczek na twarzy panny „Netki”.

W chwili kiedy Judym zamierzał spełnić coś statystycznie-uczonego o wodzie Sekwany, tramwaj beknął przeciągle i wyginając swe wagony na zwrotnicach, niby członki długiego cielska, posunął się wzdłuż brzegu czarnej rzeki. Gałęzie kasztanów z długimi liśćmi kołysały się tuż obok twarzy jadących. Sadza i ostre pyły miejskie wżarły się już w jasną zieloność miękkich powierzchni i obłoczyły je z wolna jak gdyby

³⁰ *Izara* – prawy dopływ Dunaju, źródła ma w Alpach Tyrolskich, przepływa przez górną Bawarię w pobliżu Monachium. [przypis redakcyjny]

w śniedź rudawą. Dzień był chmurny. Co chwila przemykały się nad okolicą już to głębokie cienie obłoków, już popielate światło zasepionego przedpołudnia. Ale nikt na to uwagi nie zwracał, gdyż przyciągały wszystką domki z różowego kamienia na przedmiejskich ulicach.

– Cóż to za kamienie? Co za kamienie, panie, panie? – nastawała panna Wanda. Zanim jednak zdążył zebrać myśli, już mu dała pokój, z uśmiechem zwracając głowę w przeciwną stronę. Nad ogrodami, które ze wzgórza zbiegały tam ku rzece, unosił się i wypełniał całe powietrze zapach róż upajający, rozkoszny... Gdzieś tam między drzewami widać było ogromne rabaty przebijające się na zewnątrz zielonej zasłony płomieniem paśowej i żółtej barwy. Judym obserwował twarze swych pań. Wszystkie nie wyłączając staruszki były jakby natchnione. Zwracały się mimo chęci w kierunku źródła prześlicznej woni i z przymkniętymi powiekami, z uśmiechem na wargach wciągały ją nozdrzami. Szczególniej twarz panny Natalii przykuwała w owej chwili jego uwagę. Ta istota, pochłonięta przez zapach różany, zdawała się być niby jasny motyl, dla którego ten kwiat został stworzony i który sam jeden ma do niego tajemnicze prawo.

Spomiędzy ogrodów wydzierały się tu i ówdzie szerniałe mury i kominy fabryk, podobne do wstrętnego kadłuba i obmierzłych członków jakiegoś pasożyta, który z brudu się rodzi i nim żyje. Nad wodą i daleko wzdłuż brzegu wlokły się domy przedmieścia biedne, ordynarne i małe. W pewnym

miejscu otworzył się przed wzrokiem, jak czeluść, skład węgla roztrzaskający na sąsiednie ściany, drzwi i okna swój czarny oddech. Daleko w przestrzeni widać było przymglony las Meudon.

– Cóż pani się najbardziej podobało w Paryżu? – rzekł Judym do panny Natalii, która obok niego siedziała.

Było to jedno z zapytań przygotowanych jeszcze wczoraj, jak lekcja.

– W Paryżu? – mówiła rozciągając ten wyraz z uśmiechem na ślicznych wargach. – Podoba mi się, to jest sprawia mi przyjemność, wszystko... Ruch, życie... Jest to jak burza! Na przykład w okolicy Gare Saint-Lazare – nie wiem, jak się ta ulica nazywa – gdy się jedzie w powozie i gdy się widzi tych ludzi pędzących trotuarami³¹, te fale, fale... Hucząca powódź... Raz widziałam powódź okropną u stryja, w górach. Woda nagle wezbrała... Wtedy chciało się wołać na nią: wyżej, prędzej, leć! Tu to samo...

– A pani? – zapytał Judym pannę Wandę.

– Mnie... to samo... – mówiła prędko – a oprócz tego Louvre. Tylko nie ten malowany. Fe!... Wie pan, tamten. Teraz, rozumie się, skieruje pan swoje pytanie do „ciotki” Joasi, chociaż od niej trzeba było zacząć, bo ona jest nauczycielką i kochaneczką. Widzi jegomość – mała rzecz, a wstyd. Otóż ja panu powiem. Pannie Joasi podoba się primo „Rybak”³², secundo „Myśl”,

³¹ *trotuar* (z fr.) – chodnik. [przypis edytorski]

³² *Rybak* – słynny obraz malarza fr. Puvis de Chavannes (1824–1898); jego właściwy

trzecio „Wenus”, czwarto... Zresztą nam się wszystkim ogromnie podoba i „Rybak”, i „Myśl”... Babci...

– Cóż to za myśl?

– To pan tego nawet nie wie! A wiecie co... „Myśl” wymalowana, w nowym ratuszu. Z zamkniętymi oczami, chuda, młoda, dla mnie osobiście wcale nieładna.

– Ach, w ratuszu...

– W ratuszu, ach... Teraz „Rybak” w galerii jakiej to?...

– Właśnie ciekawi jesteśmy, w jakiej? O to nam tylko chodzi... w jakiej... – wtrąciła babka.

– Zaraz... Myśli babunia, że takiego głupstwa nie wiem. O, przeprasza się delikatnie szanowną publiczność: za Sekwaną, w tym ogrodzie, gdzie to woda i te kaczki z czubami...

– Luksemburskim... – szepnęła panna Natalia.

– W Ogrodzie Luksemburskim!

– Zna pan „Rybaka” Puvis de Chavannes’a? – rzekła panna Podborska.

– „Rybaka”? nie przypominam sobie...

– Taki z pana znawca i paryżanin – drwiła panna Wanda wydymając wargi ze wzgardą.

– Alboż to ja jestem znawca i paryżanin? Ja jestem pospolity chirurg...

Kiedy to mówił, ukazał mu się obraz, o którym była mowa. Widział go przed rokiem i uderzony niewypowiedzianą siłą tego arcydzieła zachował je w pamięci. Z czasem wszystko,

co stanowi samo malowidło, szczególną rozwiewność barw, rysunek figur i pejzażu, prostotę środków i całą jakby fabułę utworu, przywalały inne rzeczy i zostało tylko czujące wiedzenie o czymś nad wszelki wyraz bolesnym. Wspomnienie owo było jak mętne echo czyjejs krzywdy, jakiejś hańby bezprzykładnej, której nie byliśmy winni, a która przecie zdaje się wołać na nas z ziemi dlatego tylko, że byliśmy jej świadkami. Panna Joanna, która rzuciła pytanie o „Rybaka”, siedziała na końcu ławki za obydwoma panienkami i babcią. Czekając odpowiedzi wychyliła się trochę i uważnie przyglądała Judymowi. Ten, z konieczności, patrząc w te oczy jasne, prawdziwie jasne, podniecony ich wynurzeniem zachwytu, które zastępowało w zupełności tysiąc słów opisu płótna Puvis de Chavannes’a, zaczął przypominać sobie nawet barwy, nawet pejzaż. Uniesienie tych oczu zdawało się przytaczać mu obraz, podpowiadać dawno zatarte wrażenie. Tak, pamiętał... Chudy człowiek, a właściwie nie człowiek, lecz antropoid³³ z przedmieścia wielkiej stolicy, obrosły kłakami, w koszuli, która się na nim ze starości rozlazła, w portkach wiszących na spiczastych kościach bioder, stał znowu przed nim ze swą podrywką zanurzoną w wodę. Oczy jego spoczywają niby to na pałakach trzymających siatkę, a jednak widzą każdego człowieka, który przechodzi. Nie szukają współczucia, którego nie ma. Ani się żalą, ani płaczą. „Oto jest pożytek wasz ze wszystkich sił moich, z ducha mojego...” – mówią doły jego oczu zapadłych. Stoi tam ten

³³ *antropoid* – małpa człekokształtna. [przypis redakcyjny]

wyobraziciel kultury świata, przerażający produkt ludzkości. Judym przypomniał sobie nawet uczucie zdumienia, jakie go zdjęło, gdy słyszał i widział wrażenie innych osób przed tym obrazem. Skupiały się tam tłumy wielkich dam, strojnych i pachnących dziewczyc, mężczyzn w „miękkie szaty odzianych”. I tłum ten wzdychał. Łzy ciche płynęły z oczu tych, którzy tam przyszli obarczeni łupami. Posłuszni rozkazowi nieśmiertelnej sztuki przez chwilę czuli, jak żyją i co stwarzają na ziemi.

– Tak – rzekł Judym – prawda, widziałem ten obraz Puvis de Chavannes’a w Galerii Luksemburskiej.

Panna Joanna cofnęła się za ramię pani Niewadzkiej. Doktor ujrzał tylko jej białe czoło otoczone ciemnymi włosami.

– Jak tam panna Netka beczała... Jak beczała!... – szepnęła Judymowi panna Wanda prawie do ucha. – Zresztą my wszystkie... Mnie samej leciały z oczu łzy takie ogromne jak groch z kapustą.

– Ja nie mam zwyczaju... – uśmiechnęła się panna Natalia.

– Nie? – spytał doktor, leniwie mierząc ją wzrokiem.

– Bardzo mi żal było tego człowieka, szczególnie tych jego dzieci, żony... Wszystko to takie chude, jakby wystrugane z patyków, podobne do suchych witek chrustu na pastwisku... – mówiła rumieniąc się, a jednocześnie z uśmiechem przymykając oczy.

– Ten „Rybak” zupełnie podobny jest do Pana Jezusa, ale to jak dwie krople wody. Niech babcia powie...

– „Rybak”? A tak, podobny, istotnie... – mówiła stara pani,

zajęta rozpatrywaniem krajobrazu.

Tramwaj wjechał w ulicę miasteczka Sevres i zatrzymał się przed piętrowym domem. Podróżni z imperialu mogli zajrzeć wprost do numerów austerii³⁴. Nie był to widok dla panien. Pijany żołnierz, w kepi na bakier, obejmował wpół wstrętną dziewczynę i para ta wychyliwszy się z okna robiła do jadących małpie miny. Na szczęście tramwaj puścił się w dalszą drogę. Ledwie wydostał się za ostatnie domy miłośnicy, na pustą i smutną przestrzeń w szczerym polu, ściemniło się raptem. Zerwał się ostry wiatr. Las najbliższy oblókł się w jakąś szarą ciemność i wkrótce gęsty, gruby deszcz sypnął jak ziarno. W wagonach powstała panika. Smugi deszczu wdzierały się pod daszek tnąc z boku i zalewały ławki. Wszystkie panie zbiły się w gromadkę i w miejscu najbardziej zasłoniętym otuliły się sukniami, ile mogły. Judym po rycersku osłaniał je od deszczu swoją figurą. Gdy tak stał, plecami wsparty o poręcz, zauważył wysuniętą z głębi mnóstwa skupionych sukien czyjąś nóżkę. Stopa w płytkim lakierowanym pantofelku na wysokim obcasie wspierała się o żelazny pręt balustrady, a wysmukła noga w czarnej, jedwabnej pończosze odsłonięta była daleko. Judym przemyśliwał, komu należy przypisać ten uroczy widok. Poczytywał go za wynik trafu i nieuwagi, toteż lękał się wznieść oczy i tylko z cienia rżęs spełniał złodziejstwo z włamaniem się i premedytacją. Pociąg wszedł w olbrzymią aleję wersalską. Rozrosłe, odwieczne drzewa zasłoniły nieco podróżnych od

³⁴ *austeria* (daw.) – gospoda. [przypis redakcyjny]

deszczu. Panie starały się jako tako otrząsnąć i wygładzić swe szaty. Śliczna nóżka nie znikwała. Krople deszczu pryskały na błyszczącą skórę strącając niby uderzeniami palców lekki pył z krótkiej przyszwyy i ginęły w miękkim jedwabiu. Judym wiedział już teraz, czyja to własność. Podniósł oczy na twarz panny Natalii i uczył, jak zatapiają się w nim zimne kły rozkoszy. Panienska miała, jak zwykle, oczy spuszczone. Czasami tylko jej brwi, dwie linijki nieznacznie zgięte, unosiły się nieco wyżej niby dwie dźwignie ciągnące do góry uparte powieki. Na wargach, z których dolna była leciutko odchylona, stał uśmiech nieopisany, uśmiech pełen jadu i swawoli.

„Ach, tak...” – myślał Judym przypatrując się tej twarzy szczególnej.

Panna Natalia wyczuła wzrok jego. Barwa jej policzków przeszła w bladość, która, zdawało się, roztopiła w sobie uśmiech otaczający usta. Wówczas jeszcze bardziej modrymi stały się cienie dokoła zamkniętych oczu i ostrzejszą linią chrząstkowatego nosa.

Tramwaj zajechał dość szybko na plac przed pałacem wersalskim i podróżni spieszenie opuścili jego obmokłą górną platformę. Doktor zdobył i utorował dla swych towarzyszek miejsce w małej budce stacyjnej, gdzie wbiło się tyle osób, że literalnie trudno było poruszyć ręką. Zdarzyło się, że doktor Tomasz stał za plecami panien Joanny i Natalii. Reszta pasażerów tramwaju tłocząc się do budynekczku w rejteradzie przed deszczem wprost złożyła ciało ostatniej z tych panien

na piersiach Judyma. Twarz jej znajdowała się tuż obok jego wąsów. Rozstrzępione przez modę i deszcz płowe włosy panny Natalii snuły się po jego twarzy, ustach, oczach, wywołując wstrząsające dreszcze. W całym zgromadzeniu panowało milczenie. Przerywał je tylko ciężki oddech jakiegoś astmatycznego grubasa. Deszcz nieprzerwanymi strugami, z chlupaniem ściekał z daszka i zasłaniał otwarte drzwi jakby ciemną kotarą.

W pewnej chwili panna Natalia usiłowała poruszyć się, ale tylko lewym ramieniem oparła się na barku Judyma. Wówczas jeszcze wyraźniej zarysował się przed jego rozmarzonymi oczyma profil jej twarzy. Chciała o czymś mówić, ale tylko uśmiechnęła się prędko... W pewnej chwili uniosła wiecznie spuszczone powieki i przez moment czasu śmiało, badawczo, upajająco patrzyła mu w oczy.

Tuż obok drzwi stała pani Niewadzka. Miała najwięcej ze wszystkich powietrza, a mimo to dech jej był ciężki, a twarz mocno czerwona.

– Wiecie wy, moje pannice – rzekła swym szeptem donośnym – że wołałabym moknąć na deszczu, niż łykać oddechy tych *marszandewenów*.

– Skądże babcia wie, że to są *marchands de vin*³⁵?

– Bagatela! – rzekła staruszka błyskając wypukłymi oczyma.

– Dmą mi wprost na twarz dwie skwaśniałe piwnice i jeszcze się będzie pytała, skąd wiem...

³⁵ *marchands de vin* (fr.) – handlarze wina. [przypis redakcyjny]

Mówiła to do panny Wandy, ale Judym słyszał ich rozmowę. Co do niego, to nie miał wcale zamiaru przekładać deszczu nad ścisk w lokalu tramwajowym. Rzekł jednak do pani Niewadzkiej po polsku:

– Moglibyśmy rzeczywiście prędko przebyć plac. To blisko... Ale panie zmokną... Nie mamy nawet parasola...

Mówiąc te słowa podał się nieco naprzód, jak gdyby miał zamiar wyprowadzić starszą panią z tłumu. Wtedy całe jego ciało zetknęło się z ciałem panny Natalii, odzianym w delikatne, wiotkie suknie. Rozpłomienionymi oczyma wpatrywał się w blade, zimne, kamienne rysy twarzy o spuszczonej powiekach.

Deszcz z wolna ustawał i tylko z rynny sąsiedniego domu zlewała się z nieustającym głośnym szelestem struga wody. Kilku mężczyzn uzbrojonych w parasole wysunęło się z domku. Wolnego miejsca przybyło, a mimo to panna Natalia przez zachwycającą chwilę nie zmieniała swej sytuacji. Wreszcie i ona posunęła się ku drzwiom w ślad za młodszą siostrą, która już przez wyciąganie rąk na zewnątrz drzwi badała, czy deszcz jeszcze pada. Nim ustał zupełnie, zaświecił na chwilę wesoły blask słońca. Kamienie pochyłego placu migotały jakby obsypane szkłem tłuczonym, a widok ten wywabiał wszystkich z ciasnej nory. Judym podał ramię babci i całe towarzystwo szybko podążyło ku pałacowi. W długich i wielkich salach, wobec ścian zawieszonych historycznymi malowidłami, jednolita gromadka jak gdyby się rozdzieliła. Każda z osób

przypatrywała się na swoją modłę lichym płótnom niższego piętra. Wkrótce te malunki poczęły nużyć. Judym szedł jak gdyby przez długie, długie strzyżone aleje i martwił się bezwiednie, że końca ich – ani śladu. Był już zresztą w Wersalu, więc ani komnaty królewskie, ani sala lustrzana nie zaciekawiały go bardzo. Stąpił wolno po prawicy starej damy, która stawiała co kilka kroków i przykładając do oczu lornetkę na długiej ręczce szyldkretowej niby to obserwowała malowidła. Szereg bitw Napoleońskich, tłumy wojska, teatralne twarze i gesty wodzów, dzikie spienione rumaki – przesuwwały się w oczach doktora jakby szeregi odległych, młodzieńczych rojeń. Gdzieś daleko zatrzymano się przed białym, marmurowym posągiem umierającego Korsykanina. Kiedy całe towarzystwo wracało z tamtej okolicy pałacu i kiedy znowu mijano sale pełne batalii, stara pani ujęła w pół pannę Joannę i rzekła:

– Jesteśmy daleko stąd, w świecie bohaterów... Marzymy, marzymy.

Panna Joanna zarumieniła się, a raczej sczerwieniła się, i zmieszana bąkała:

– Nie... ale gdzież tam!... co znowu!... Ja tylko tak sobie...

Od tej chwili, pomimo że Judym bardzo niewidocznie ją śledził, trzymała się na wodzy i usiłowała spędzić z twarzy historię doznanych wrażeń. Szczegółowo zwiedzono apartamenty królewskie. Gdy już pani Niewadzka z miną bardzo uroczystą wysłuchiwała wszystkiego, co jej rozповідаł z nadzwyczaj plastycznymi ruchami oprowadzający szwajcar,

i gdy obszedłszy małe saloniki skierowała swe towarzystwo ku wyjściu, panna Wanda obejrzała się poza siebie i syknęła:

– Panno Netko, idziemy!

Judym poszedł za wzrokiem najmłodszej z dziewic i przypatrzył się pannie Joannie. Stała oparta o jedno z niewielkich krzeseł, kryte nikłym błękitnawym adamaszkiem, i patrzyła w okno. Wyraz twarzy jej był tak dziwny, że Judym wstrzymał się mimo woli. Później zbliżył się do niej i rzekł nawiązując myśl do tego, co portier mówił przed chwilą:

– Myśli pani o Marii Antoninie³⁶?

Spojrzała na niego z zakłopotaniem, jak osoba ujęta na gorącym uczynku, i wahającym się głosem mówiła:

– Widać stąd, przez to okno, wielki dziedziniec i bramę. Tamtędy... Tamtędy wdarł, się motłoch. Pijane kobiety, mężczyźni uzbrojeni w noże. Maria Antonina widziała z tego okna! Doznałam tak dziwnego wrażenia... Cały ten straszny tłum krzyczał: „Śmierć Austriaczce!” I tędy, tymi drzwiami uciekła, tędy uciekła...

– Panno Joasiu... – nawoływano.

– Ale wspomniała pani o wrażeniu.

– Wspomniałam o wrażeniu... – mówiła spuszczać oczy i blednąc jeszcze bardziej. – My, proszę pana, jesteśmy bardzo tchórzliwe. Boimy się nie tylko na jawie, ale i w tak zwanych

³⁶ *Maria Antonina* – żona Ludwika XVI, córka Marii Teresy, cesarzowej austriackiej; znienawidzona przez lud francuski, została w czasie rewolucji ścięta na gilotynie (1798). [przypis redakcyjny]

marzeniach. Ja złąkłam się bardzo tego motłochu, o którym właśnie myślałam.

– Motłochu? – mówił Judym.

– Tak... To jest krzyku ich. Złąkłam się, sama nie wiem, czegoś takiego...

Podniosła oczy niewinne, o przedziwnym jakimś wyrazie strachu czy bóleści. Jeszcze raz rzuciła na małe izdebki wejście pełne serdecznego żalu i poszła prędko za towarzyszkami.

W powrocie z Wersalu do Paryża koleją zatrzymano się w Saint-Cloud. Stanąwszy na wzgórzu, tuż za dworcem kolejowym, panny wydały okrzyk. U nóg ich leżała, ciągnąc się w głąb kraju i gubiąc w rudych mgłach, pustynia kamienna: – Paryż. Barwa jej była czerwona, ryza, tu i ówdzie rozdarta przez dziwaczny znak ciemny, przez Łuk Tryumfalny, wieże kościoła Notre-Dame albo wieżę Eiffla. Z krańców niedościgłych dla oka mgły zabarwiały się błękitnymi smugami. Stamtąd płynęły dymy fabryczne snując się z kominów podobnych w dali do grubych biczyk. Te bity pędzą rozrost pustyni. Odgłos jej życia tam nie dochodził. Wydawało się, że skończyła i zastygła w swej kamiennej, chropawej formie. Jakieś dziwne wzruszenie ogarnęło przybyłych, wzruszenie takie, jakiego doświadcza się tylko na widok wielkich zjawisk przyrody: w górach, pośród lodowców albo nad morzem.

Judym siedział obok panny Tali, ale nawet o tym sąsiedztwie zapomniał. Tonął oczyma w Paryżu. W głowie jego przegryzały się myśli bez związku, własne, niepodzielne, niżej świadomości

stojące postrzeżenia, z których się zwierzyć człowiek nie jest w możności. Wtem zadał sobie wyraźne pytanie:

„Dlaczegoż tamta powiedziała, że się zlekła wyjrzawszy oknem z sypialni Marii Antoniny?”

Oderwał oczy od widoku miasta i chciał znowu przypatrzeć się pannie Joasi. Teraz dopiero lepiej zauważył, jaki jest jej profil. Broda miała kształt czysto sarmacki czy kaukaski³⁷. Wysuwała się nieco, a w taki sposób, że między nią i dolną linią nosa tworzyła się jakby prześliczna parabola, w głębi której kwitły różowe usta. Gdy tylko rysy twarzy rozwidniał blask wrażenia, w mgnieniu oka wargi stawały się żywym ogniskiem. Wyraz ich zmieniał się, potężniał albo przygasał, ale zawsze miał w sobie jakąś szczególną siłę prawdziwej ekspresji. Patrzącemu przychodziła do głowy myśl uparta, że nawet impuls zbrodniczy odzwierciedliłby się w tej twarzy z taką samą szczerością jak radość na widok rozkwitłych irysów, wesołych barw krajobrazu, dziwnych fantazji malarskich, a również na widok pospolitych przedmiotów. Widać było, że każda rzecz staje wobec tych oczu jako zjawisko naturalne i dobre. Czasami jednak przebijiała się w nich zmęczona niechęć i uśmiech zabity. Ale i w tym było coś dziecięcego: szczerość, szybkość i potęga.

Jak wyraz twarzy, tak samo ruchy panny Joanny miały w sobie coś... niepodobnego... Jeżeli chciała oddać słowami to, co czuła, bardzo żywo, prędko, na mgnienie oka wznosiła rękę,

³⁷ kształt (...) kaukaski – w dawnej terminologii rasę białą nazywano kaukaską.
[przypis redakcyjny]

a przynajmniej brwi, jakby uciszała wszystko zdolne zagłuszyć ową melodię jej myśli, wyrazów, uśmiechów i poruszeń ciała.

„Kogo ona przypomina? – myślał doktor, od niechcenia patrząc na jej czoło i oczy. – Czym jej nie widział gdzie w Warszawie?”

I oto przyszło mu do głowy miłe a nielogiczne *notabene*³⁸, że ją przecie widział wczorajszego dnia przed tym białym uśmiechniętym posągiem...

Na dworcu Saint-Lazare rozstał się z turystkami.

Stara pani zawiadomiła go, że nazajutrz wyjeżdża ze swą „bandą” do Trouville,³⁹ a stamtąd do Anglii.

Judym pożegnał je ostentacyjnie i wrócił trochę znużony do swojej klety.

³⁸ *notabene* (z łac.) – dosł.: zauważ dobrze; tu: w dodatku. [przypis redakcyjny]

³⁹ *Trouville* – port fr. nad kanałem La Manche, a zarazem uczęszczana pod koniec XIX w. miejscowość letniskowa. [przypis redakcyjny]

W pocie czoła

Po upływie roku, jednego z ostatnich dni czerwca Judym zbudził się w Warszawie. Była godzina dziesiąta rano. Przez uchylone okna włamywał się do pokoju łoskot ulicy Widok, starodawny, znajomy łoskot *drynd* tłukących się o kamienie wielkości bułki chleba. Z dołu, z wąskiego dziedzińca, na który wychodziła większość okien *chambres garnies*⁴⁰, gdzie się w przeddzień zatrzymał, wlokły się już w górę na skrzydłach ciepła rozprażone wapory. Judym zerwał się, zbliżył do okna i przez szpary między jego połowami oglądał figurę stróża z mosiężną blachą na czapie, który z rodzimym grubiaństwem tłumaczył coś starej damie w czarnej mantylce. Młodość kipiała w żyłach doktora. Czuł w sobie uspioną siłę, jak człowiek, który jest u podnóża wielkiej góry, stawia krok pierwszy, żeby wstąpić na jej szczyt daleki – i wie, że wejdzie. Nie strząsnął ze siebie dotąd znużenia po drodze „Paryż-Warszawa”, jednym tchem odbytej, ale w przeddzień doznał tylu miłych uczuć, że kazały mu w zupełności zapomnieć o sadzy węgla, którą był przesiąkł. Gdy z okien wagonu widział krajobraz, wioski z ich białymi chatami, bezbrzeżne pola, zboża dojrzałe – nie wyczuwał wielkiej różnicy między tym krajem a ziemią francuską. Tu i ówdzie sterczały dziwne kształty fabryk i wskroś jasnego nieba szły dymy. Do wagonu wsiadali wieśniacy bynajmniej nie głupszy

⁴⁰ *chambres garnies* (fr.) – pokoje umeblowane do wynajęcia. [przypis redakcyjny]

od francuskich, czasami tak mądrzy, że aż miło, rzemieślnicy i robotnicy – tacy sami jak francuscy. Słuchając ich rozmów mówił do siebie co chwila: „A bo to prawda, że jesteśmy barbarzyńcami, półlazjatami? – Nieprawda! – Tacyśmy sami jak każdy inny... Walimy naprzód i kwita! Żeby tu wsadzić jednego z drugim, to widziałyby się, czyby i tak potrafili, wycackani przez ich parszywe konstytucje...”.

To miłe, optymistyczne wrażenie Judym przywiózł w sobie do miasta jakby żywy i słodki zapach pól rodzinnych. Wypałał się setnie, a teraz pierwszym rzutem oka witał „starą budę”, Warszawę.

Wraz z tym spojrzeniem – przyszli mu na myśl krewni. Czuł konieczność odwiedzenia ich nie tylko z obowiązku, ale także dla samego widoku swoich twarzy. Wyszedł z hotelu i posuwając się noga za nogą zginął w tłumie, który przepływał chodnikiem ulicy Marszałkowskiej. Cieszyły go bruki drewniane, rozrost drzewek, które już pewien cień rzucały, nowe domy powstałe na miejscu dawnych ruder.

Minąwszy ogród i plac za Żelazną Bramą, był u siebie i przywitał najściślejszą ojczyznę swoją. Wąskimi przejściami, pośród kramów, straganów i sklepików wszedł na Krochmalną. Żar słoneczny zalewał ten rynsztok w kształcie ulicy. Z wąskiej szyi między Ciepłą i placem wydzieliał się fetor jak z cmentarza. Po dawnemu roiło się tam mrowisko żydowskie. Jak dawniej siedziała na trotuarze stara, schorzała Żydówka sprzedająca gotowany bób, fasolę, groch i ziarna dyni. Tu i ówdzie włączyli

się roznosiciele wody sodowej z naczyniami u boku i szklankami w rękach. Sam widok takiej szklanki oblepionej zaschłym syropem, którą brudny nędzarz trzyma w ręce, mógł wywołać torsje. Jedna z roznosicielek wody stała pod murem. Była prawie do naga obdarta. Twarz miała żółkła i martwą. Czekwała w słońcu, bo ludzie tamtędy idący najbardziej mogli być spragnieni. W ręce trzymała dwie butelki z czerwoną cieczą, prawdopodobnie z jakimś sokiem. Siwe jej wargi coś szeptały. Może słowa zachęty do picia, może imię Jego, Adonai⁴¹, który nie może być przez śmiertelnych nazywany, może w nędzy i brudzie jak robak wylęgłe – przekleństwo na słońce i na życie...

Z prawej i lewej strony stały otworem sklepiki, instytucje kończące się niedaleko od proga – jak szuflady wyklejone papierem. Na drewnianych półkach leżało w takim magazynie za jakie trzy ruble papierosów, a bliżej drzwi nęciły przechodnia gotowane jaja, wędzone śledzie, czekolada w tabliczkach i w ponętnej formie cukierków, krajanki sera, biała marchew, czosnek, cebula, ciastka, rzodkiew, groch w strączkach, kubły z koszernymi serdelkami i słoje z sokiem malinowym do wody.

W każdym z takich sklepów czerniała na podłodze kupa błota, która nawet w upale zachowuje właściwą jej przyjemną wilgotność. Po tym gnoju pełzały dzieci okryte brudnymi łachmany i same brudne nad wyraz. Każda taka jama była siedliskiem kilku osób, które pędziły tam żywot na szwargotaniu

⁴¹ *Adonai* (hebr.) – Wszechmocny; określenie Boga, zamiast właściwego imienia: Jahwe, którego przepisy religii żydowskiej zabraniały wymawiać. [przypis redakcyjny]

i próżniactwie. W głębi siedział zazwyczaj jakiś ojciec rodziny, zielonkowaty melancholik, który od świtu do nocy nie rusza się z miejsca i patrząc w ulicę trawi czas na marzeniu o szwindlach.

O krok dalej rozwarte okna dawały widzieć wnętrza pracowni, gdzie pod niskimi sufitami skracają swój żywot schyleni mężczyźni albo zgięte kobiety. Tu widać było warsztat szewski, ciemną pieczarę, z której wywalał się smród namacalny, a zaraz obok fabrykę peruk, jakich używają pobożne Żydówki. Było takich zakładów fryzjerskich kilkanaście z rzędu. Blade, żółte, obumarłe, dziewczyny, same nie czesane ani myte, pracowicie rozdzielały kłaki... Z dziedzińców, drzwi, nawet ze starych dachów krytych blachą lub cegłą, gdzie szeregiem tkwiły okna facjatek, wychylały się twarze chore, chude, długonose, zielone, morełogowate i patrzyły oczy krwawe, ciekące albo zubożniałe na wszystko w niedoli, oczy, które w smutku wiecznym śnią o śmierci. Przy pewnej bramie Judym zetknął się z kupcową dźwigającą na obu rękach ciężkie kosze z jarzyną. Była całkiem rozmamana. Perukę zsunęła w tył niby kaszkiet i ogolone jej ciemnie bieliło się jak łysina starca. Wypukłe oczy patrzyły przed siebie z wyrazem męczarni, która przeistoczyła się w spokój – bez żadnego życia, jakby były skorupami jaj, w nabrzmiałych wenach⁴² czoła i szyi krew zdawała się głośno stukać. Na progu jednego ze sklepów siedział stary, zgarbiony Żyd-tragarz. Zostawił wśród ulicy dwie szafy związane sznurem, które aż do tego miejsca przydźwigał na plecach, i jadł surowy ogórek

⁴² wena – tu: żyła. [przypis redakcyjny]

zagryzając ten obiad kawałkiem chleba.

Judym szedł prędko, mrużąc coś do siebie. Mury o kolorze zakurzonego grynszpanu albo jakiejś zrudziałej czerwoności, niby pstre, ubłocone gałgany, nasunęły mu się przed oczy. Ciepła... Chodniki były jak niegdyś zdruzgotane, bruk pełen wadołów. Nie było tu już ani jednego przechodnia w cylindrze, rzadko trafiała się dama w kapeluszu. Ogół idących podobny był do murów tej ulicy. Szli ludzie w ubraniach do pracy fizycznej, najczęściej bez kołnierzyków. Przejeżdżająca dorożka zwracała uwagę wszystkich. Z dala już dostrzegł Judym bramę rodzinnej kamienicy i zbliżył się do niej z niemiłym uczuciem tak zwanego „fałszywego wstydu”. Trza było witać osoby niskiej kondycji. Teraz, gdy wrócił z zagranicy, było mu to przykro, bardziej niż kiedykolwiek. Wszedł co tchu w bramę z nieuświadomionym planem: unikać obcych...

Dziedziniec rozchodził się w trzy strony świata. Nad jedną jego szyją wznosiła się jakaś hałaśliwa fabryczka, która była dla Judyma nowością, drugą po dawnemu zajmował skład węgla, a trzecia prowadziła do kilkupiętrowej oficyny. Tam właśnie Judym skierował swe kroki. Gdy stanął w sieni brudnej jak apartament Lucypera, usłyszał w suterenie szczęk znajomy: to „sąsiad” Dąbrowski, ślusarz, ciął swoją sztukę. Judym zeszedł po schodach i zajrzał w sionkę, która prowadziła na lewo od drzwi ślusarza. Widać tam było czeluść otwartą, prowadzącą do rodzinnej sutereny. Kwaśny chłód przystąpił do Judyma i odepchnął go stamtąd. Z warsztatu ślusarza wyszedł mały

umorusany chłopak i zaczął się przyglądać gościowi. Judym szybko pobiegł na górę. Minał pierwsze piętro, drugie i dopiero na wysokości strychu zwolnił kroku. Miał przed sobą okienko bez szyb, pewien rodzaj strzelnicy w murze. Cegła, zamykająca ten otwór z dołu, była tak wyslizgana przez dzieci, które się tam bawiły, że przybrała kształt owalny. Ileż to razy on sam, Judym, wyłaził przez ten otwór na zewnątrz muru i wisiał w powietrzu! W kącie czerniał wodociąg ogólny, rozprowadzający wilgoć na całą ścianę. Nad nim aż do sufitu sięgała plama kopciucha z lampy naftowej. Ściany były pełne cienia i smutku, jak deski składające trumnę.

Ostatnia kondygnacja schodków prowadziła do mrocznej sieni, która przecinała wzdłuż poddasze. Judym stanął przede drzwiami w głębi i zastukał raz, drugi, trzeci. Nikt mu nie odpowiedział. Gdy jeszcze raz kołatał klamką, z drzwi sąsiednich wysunęła się dziewczyna lat trzynastu i zmierzyła go wzrokiem dojrzałej kokietki. Nie pytana rzekła:

– A kogo to pan szuka?

– Tu jest mieszkanie Wiktora Judyma?

– Tutaj.

– Nie wie panienka, czy jest kto w domu?

– Dopiero była ciotka, musi być... A może i zeszła na podwórze z *dzieciami*.

Mówiąc to wychyliła się jeszcze bardziej i zaglądała Judymowi w oczy ze śmiałością wielkowiejską. W tej chwili w głębi mieszkania rozległ się straszny wrzask, jakiś potok

wyrazów złorzeczących, klątw ordynarnych bez związku, zlewających się jakby w ryk bydłęcia. Judym zdziwiony nastawił ucha, a potem cicho spytał się dziewczyny, co to znaczy. Uśmiechnęła się filuternie i rzekła:

– To tam moja babka, wariatka.

– Wariatka? Trzymacie ją w domu?

– A w domu. Gdzież mamy trzymać?

Odsunął dziewczynę na bok i zajrzał do wnętrza. W kącie, pod piecem, siedziało widmo człowiecze, za ręce i nogi przywiązane do haka wystającego z ziemi. Siwe kudły nakrywały głowę i ramiona tej istoty, a jakieś stargane łachmany resztę ciała. Czasem spod włosów ukazywały się straszliwe oczy jak dwa błyskające płomienne miecze, kiedy niekiedy usta ciskały ładunek okropnych wyrazów. Judym instynktownym ruchem cofnął się do sionki i zaczął wypytywać dziewczynę.

– Czemuż jej nie oddacie do szpitala?

– A ja wiem czemu! To dobre! Nie można oddać.

– Dlaczego nie można?

– Bo nie ma miejsca. A po drugie, skądże my weźmiemy pieniędzy na to, żeby za nią płacić.

– Czemuż ją tak przykuwacie?

– A ba! Czemu? Bo złapie siekierę, nóż, tasak i pozabija dzieci, ojca, mamunię. To taka szelma zła, że proszę siadać!

– Dawno już chora?

– Albo ona chora? Wariatka, nie chora. Żebym ja takie zdrowie miała jak ta. Przyjdzie ją ojcu wiązać, to się tak utargają

oboje, że no! Ojciec to samo nie ułomek, a ledwo tę psiakrew ujeździ...

Judym machnął ręką i uciekł po schodach. Gdy stanął na dziedzińcu, dostrzegł w jego szyi pod murem fabryki mnóstwo dzieci skaczących, biegających, rozbawionych. Na kupie opalonych belek siedziała ciotka Pelagia, kobieta stara, łaskawy chleb od lat wielu jedząca u siostrzeńca, a brata Judymowego, Wiktora. Była to jejmość chuda, chorowita i zrzędna. Rzadko kto słyszał od niej dobre słowo, a dzieci nabrały się szturchańców ile wlezie. Judym szedł ku niej wolno, krzywiąc się pod wąsem i mocując ze sobą. Przykro mu było witać się na placu, wobec lokatorów i gapiów. Doświadcział nieprzyjemnego uczucia półodrazy, zbudzonej i wydobytej na jaw przez szczególne politowanie, stanowiące rdzeń uczuć rodzinnych. Ciotka Pelagia odwróciła głowę i spostrzegła go, ale nie ruszyła się z miejsca. Gdy przyszedł i dotknął nosem jej zabrudzonego rękawa w okolicach dłoni, schyliła się prędko i cmoknęła go z dala we włosy.

– Kiedyż *Tomciu* przyjechał? Nic my nie wiedzieli... – rzekła z właściwą jej oschłością.

– Wczoraj wieczorem dopiero. Jakże zdrowie ciotki?

– Ej... jakież ta moje zdrowie... Tak *kipię*. Teraz ciepło, to siedzę tutaj we dnie, a *przyńdzie* zima, to się może nareszcie skończy.

– Ech, nie lubię też tych wszelkich...

– A wiem...

– Ciotka nieźle wygląda. Cóż słyhać u Wiktorów? Jakże on?

– A cóż... Jak to Wiktor.

– No?

– Jest ta w tej fabryce.

– U Milera?

– Gdzie zaś! W żelaznej, ale przy stalowni.

– Przy stalowni! – zdziwił się Judym.

– A w stalowni.

– Dlaczegoż to?

– Przerzucił się. Mówi, że woli. No i łatwiej mu będzie...

te... Ale to *Tomciu* winien, nie kto inny... – rzekła obojętnie, prostując fałdy spódnicy.

– Ja winien jestem, że się Wiktor przerzucił?

– Że się przerzuca, to temu *Tomciu* winien. Jak był głupim drażalem, to robił, co wlało. Wzięłże *Tomciu* kłaść mu w głowę mądrości i teraz mu się odechciało roboty. Zabrał się do nie swoich rzeczy. Książki czyta. A jakże... To uczony człowiek! – uśmiechnęła się szyderczo, pokazując białe zęby.

Judym słuchał obojętnie. Później zapytał:

– Dużo zarabia?

– Nie, niedużo. Ona musiała stanąć do roboty, bo przyszła bieda.

– Gdzież ona?

– W fabryce cygar. Rozchodzą się rano, a ja muszę dzieci pilnować, strawę gotować, dom cały obrządzić. Gdzież *Tomciu* będzie mieszkał, niby na stałe? Tutaj czy gdzie we świecie? –

zapytała z udaną obojętnością.

– Jeszcze nie wiem, dopierom wrócił.

Rozmowa się urwała. Judym patrzył spod oka na skrawek asfaltu zabłąkany w tym miejscu i leżący tam wśród brył kamiennych jak gdyby wskutek czyjegoś roztargnienia, na drzewko wyrastające wprost z asfaltowej skorupy. W sąsiedztwie pniaka leżała krata ścieku podtrzymująca przeróżne odpadki. Słońce dogrzewało. W cieniu wysokiego muru fabryki bawiło się stado dzieci. Jedne z nich były mizerne tak bardzo, że dawała się widzieć w tych przeźroczytych twarzach sieć żył błękitnych; inne opaliły na słońcu nie tylko swe buziaki, ręce i szyje, ale także skórę kolan wyłażących obszernymi dziurami. Pośród wierzgającej gromady pełzało jakieś małe, rachityczne, ze sromotnie krzywymi nogami i ze śladami ospy na gołych, mizernych gnatach. Cała ta banda sprawiała wrażenie śmieci podwórza czy zeschniętych liści, które wiatr miota z miejsca na miejsce. Rej wodził między całą hałasującą czeredą chłopak ośmioletni, wysmukły, bez czapki, ubrany w ojcowskie *ineksprymable*⁴³ i matczyne trzewiki. Kawaler ten darł się wniebogłosy, do czego uprawomocniała go komenda nad resztą w prowadzeniu jakiejś batalii. Kiedy przebiegał jak jeleni, dążąc ku środkowi dziedzińca, Judym go poznał:

– Przecie to Franek!

– A Franek... – rzekła ciotka.

⁴³ *ineksprymable* (z fr. *inexprimable*: niewypowiedziany, niewypowiadalny) – spodnie; też: kalesony, majtki. [przypis redakcyjny]

Dr Tomasz zatrzymał siostrzeńca i wywołał tym na jego fizys oznakę szczerego niezadowolenia. Z tłumy posunęła się naprzód dziewczyna młodsza od Franka i zbliżyła się do ciotki. Była to Karolina, siostrzenica Judymowa. Oczy miała duże, w szarej, znędzniałej twarzy palące się jak węgle spod grzywy, która zakrywała jej brwi i kończyła się na nosie. To dziecko miało fizjonomię starą i chytrą, spojrzenie uparte i badawcze, jak człowiek, który już przeżył gorycz setki zawodów i którego już nie okłamują złudzenia. Judym przyciągnął Karolę do siebie i ucałował. Nie broniła mu tego. Wpatrywała się tylko w jego oczy swym ciężkim wzrokiem, jakby z zapytaniem, co jej z tego przyjść może. Franek palnął „wujka” w mankiet i bąknąwszy coś mdłego na kilka pytań, wydalil się w kierunku kupy kolegów. Dyskurs z ciotką nie kleił się, a natomiast, jak to często w takich razach bywa, przychodziły Judymowi do głowy myśli własne, nowe, nie nadające się wcale do zużytkowania ich w tej rozmowie. Te dzieci biegające w ciasnym zaułku, ogrodzonym przez nagie i niezmierne mury, przypominały, nie wiadomo czemu, stado wiewiórek zamkniętych w klatce. Gwałtowne ich ruchy, nieustanne skoki domagały się szerokiego placu, drzew, trawy, wody...

– *Tomciu* by się chciał pewnie zobaczyć jak najprędzej z Wiktorem? – rzekła ciotka nie lubiąca nigdy udawać szczerości uczuć, których nie żywiła.

– Ano, rozumie się.

– Z nim trudno się *tera* zetknąć. Czasem to i trzy dni, trzy

noce w domu go nie ma.

– A gdzież on bywa?

– Ba, wie to kto? Może zresztą dziś akurat *przyńdzie*...

– To ja tu wpadnę wieczorkiem, a teraz chciałbym się z bratową przywitać. Można do niej zajść do fabryki, wpuszczają mnie tam?

– Czasem to i wpuszczają. Niech *Tomciu* spróbuje. Przecie wam, panom doktorom, łatwiej niż nam, hołocie...

– Gdzież się ta fabryka znajduje? – zapytał Judym, któremu ta rozmowa zaczęła już ciężyć.

Ciotka wskazała mu kierunek drogi i adres.

Wysunąwszy się z tego domu, doktor szedł ulicami w stronę przedmieścia ze zwieszoną głową, machinalnie szukając oczyma fabryki cygar. Nie było tam już jednolitego szeregu kamienic i rzadziej trafiały się domy piętrowe. Natomiast szły w dal drewniane, niskie, odrapane budynki, niepodobne ani do dworów, ani do chałup wiejskich, a przypominające jedne i drugie.

Domostwa te były obwieszone jaskrawymi szyldami i zbryzgane błotem. Brud nie puszczał wzroku przechodnia do wnętrza mieszkań i mógł wcale skutecznie zastępować żaluzje. Od frontu mieściły się tam zresztą głównie sklepiki. W jednym sprzedawano nędzne kiełbasy, w drugim, bardziej może mizerniejszym, liche trumny.

Gdzieniedzie ze środka tych zagród miejskich, okrytych starą ceglaną dachówką albo papą, na której rozkłada się już

tu i ówdzie pleśń zielona, strzelała w górę nowa kamieniczka, szybko postawiona, jakby wydmuchnięta z piasku. Taka figura, z niewidocznym dachem, z trzema ślepyimi ścianami i jedną uzbrojoną w szereg okien, sterczała wśród siedzib starego, niemal średniowiecznego kształtu, jak drogowskaz nowego porządku rzeczy, zwiastujący aneksję tych okolic na rzecz rozwoju wielkiego miasta z jego bezlitosną, surową linią, z jego brukiem i więziennym, nagim, chropawym murem. Jeszcze częściej połąć domów niskich przerywał ogromny tors fabryki z tęgimi murami, szeroką bramą i baterią kominów. W dali na horyzoncie dachów ukazywały się wszędzie te kominy i kominy.

Środkiem ulicy, po zrujnowanym bruku, wlokły się noga za nogą wozy z cegłą, wytrząsające na wsze strony pył różowy. Odstawiali ją woźnice przysypani tym kurzem od czubka głowy do obcasa, z twarzami bezmyślnymi jak cegły. Kiedy indziej dudnił wielki wóz frachtowy z pakami poobwijanymi w rogoże. Na szczycie takiego statku siedział zazwyczaj monstualny Żyd w czerwonym barchanowym kaftanie, wywijał batem i wrzeszczał na parę koni, stawiających każdy krok nowy z niezmiernym wysiłkiem. Jeden z wozów zagrodił Judymowi drogę wjeżdżając w bramę dużego budynku. Numer domu wskazywał właśnie instytucję, której doktor Tomasz poszukiwał. Stwierdzał to również ckliwy i niemiły zapach tytoniu, który otaczał zabudowania i panował na znacznej przestrzeni ulicy. Judym wszedł w bramę i zwrócił się do szwajcara z zapytaniem, czyby nie można zobaczyć się

z robotnicą nazwiskiem Judymowa. Stróż nie chciał słuchać o niczym, dopóki nie uczył w garści czterdziestówki. Pod wpływem tego wrażenia zaczął forsownie myśleć, a wreszcie znikł na chwilę i przyprowadził jakiegoś kapcana okrytego pyłem. Ten po długich debatach kiwnął na Judyma palcem i wprowadził go do wnętrza bocznej oficyny. Proszek tabaki wdierał się tam do nosa, gardła, płuc przychodnia i podwajał szybkość oddechu. Na pierwszym piętrze ukazała się duża sala, formalnie wypełniona przez tłum kobiet złożony z jakich stu osób, pochylonych nad długimi a wąskimi stołami. Kobiety te, rozebrane w sposób jak najbardziej niepretensjonalny, zwijały cygara prędkimi ruchami, które na pierwszy rzut oka czyniły wrażenie jakichś kurczów bolesnych. Jedne z nich schylały głowy i trzęsły ramionami jak kucharki wałkujące ciasto. Te zajęte były zwijaniem grubo siekanego tytoniu w liście, które poprzednio zostały szybko a misternie przykrojone. Inne kładły zwinięte cygara w prasy drewniane. Duszące powietrze, pełne smrodu ciał pracujących w upale, w miejscu niskim i ciasnym, przeładowane pyłem starego tytoniu, zdawało się rozdzierać tkanki, żarło gardziel i oczy. Za pierwszą salą widać było drugą, daleko obszerniejszą, gdzie w ten sam sposób pracowało co najmniej trzysta kobiet. Przewodnik nie pozwolił Judymowi zatrzymać się w tym miejscu i poprowadził go dalej przez wąskie schody i sionki, obok maszyn suszących liście, obok młyna mielącego tabakę i siewkarni krajającej różne rodzaje tytoniu – do izb, gdzie pakowano towar gotowy. Wrzała

tam szalona praca. Przechodząc Judym zauważył dziewczynę, która paczki cygar oklejała banderolą. Szybkość ruchów jej rąk wprawiła go w zdumienie. Zdawało mu się, że robotnica wyciąga ze stołu nieprzerwaną tasiemkę białą i mota ją sobie na palce. Z rąk leciały do kosza pod stołem gotowe paczki tak szybko, jakby je wyrzucała maszyna. Ażeby zrozumieć sens jej czynności, trzeba było wpatrywać się usilnie i badać, gdzie jest początek oklejania każdej torebki.

Za tą salą otwierała się izba przyćmiona, gdzie, według słów przewodnika, pracowała bratowa Judyma. Okna tej izby zastawione były siatkami z drutu, których gęste oka, przysypane rudym prochem miejscowym, puszczały mało światła, ale natomiast powstrzymywały od emigracji miazmaty wewnętrzne. Leżały tam w kątach sąsieki grubo krajanego tytoniu. W środku sali było kilka warsztatów, na których towar pakowano. Z każdego stołu wybiegała zakrzywiona rurka, a z niej strzelał poziomo z sykiem długi język płonącego gazu. Dokoła każdego stołu zajęte były cztery osoby. Przy pierwszym Judym zobaczył swoją bratową. Miejsce jej było w rogu, tuż obok płomyka gazowego. Z drugiej strony stał, a raczej kołysał się na nogach, wysoki człowiek o twarzy i cerze trupa. Dalej, w drugim końcu, siedział stary Żyd w czapce zsuniętej na oczy tak nisko, że widać było tylko jego długą brodę i zakłęsłe usta. W sąsiedztwie Judymowej po lewej stronie stała dziewczyna, która nieustannie brała z kupy garść grubego tytoniu, rzucała ją w szalę, a odważywszy ćwierć funta, podawała

człowiekowi kołyszącemu się na nogach. Doktor wstrzymał się przy drzwiach i stał tam długo, usiłując znowu zrozumieć manipulację tej czwórki. Był to widok ludzi miotających się jak gdyby w drgawkach, w konwulsyjnych rzutach, a jednak pełen nieprzerwanej symetrii, metody i rytmu. Po stolnicy, przy której te osoby były zatrudnione, między Judymowa a jej sąsiadem przebiegały ciągle dwa blaszane naczynia, z jednej strony rozszerzone w kształcie czworokątnych kielichów, z drugiej równoległościenne. Formy te były wewnątrz puste. Judymowa w każdej chwili chwyciła jedną z nich w lewą rękę, zwracała szerokim otworem ku dołowi i opierała na kolanie. Prawą ręką ujmowała ze stosu kartkę z wydrukowaną etykietą fabryki, otaczała tą ćwiartką koniec blaszanej formy, zawijała rogi papieru i kleiła je lakiem, który błyskawicznym ruchem topiła w płomyku gazowym. Ledwie zawinięty róg przytknęła palcem, całą formę brał z jej rąk sąsiad mężczyzna, podczas gdy ona odbierała stojącą przed nim, dla wykonania tej samej pracy. Mężczyzna zwracał blachę otworem do góry. Koniec jej wyższy, oblepiony etykietą, zanurzał w stosowne wyżłobienie stolnicy. Przyjmował z rąk dziewczyny ważącą tytoń szalkę. Wsypywał ćwierć funta w otwór naczynia i tłokiem odpowiadającym kształtowi blaszanki ubijał zawartość. Dokonawszy tego przez dwa rytmiczne schylenia ciała, wyjmował formę z pełnej już tytoniu papierowej torebki i sięgał po nową, którą w tym czasie Judymowa oblepiła. Trzeci pracownik paczkę zostawioną wydobywał z otworu i zaklejał z drugiej strony, maczając lak

w ogniu, na wzór towarzyszki z przeciwnego końca warsztatu.

Pracownicy jednego stołu ładowali w ciągu doby roboczej tysiąc funtów tytoniu w ćwierćfuntowe paczki. To znaczy, że dostarczali ich cztery tysiące. Na zapakowanie jednej tracili nie więcej czasu jak dziesięć sekund. Były to zgodne ruchy, nagłe a niestrudzone rzuty rąk, jak błysk światła lecące zawsze do pewnego punktu, skąd odskakiwały niby sprężyste ciała. Judym widział tam jak na dłoni to, co chłopci zowią „sposobem”: *usus*⁴⁴, wypróbowany w krwawym trudzie szereg środków cudaczych, które stanowią najkrótszą, najłatwiejszą a niezbędną do przebycia linię między dwoma końcowymi punktami pracy. Przypomniały mu się własne „sposoby” w klinice, na sali operacyjnej, i tym głębiej zanurzyły jego uwagę w trud istot, które miał przed sobą. W głębi izby stał stół zupełnie podobny do pierwszego z brzegu, a obok płomyka robiła kobieta w czerwonej chustce na głowie. Szmata zupełnie okrywała jej włosy. Widać było spod niej duże, wypukłe czoło. Żyłki skroni i szyi były nabrzmiące. Zamknięte oczy po każdym małym ruchu głowy otwierały się, gdy trzeba było przylepić lakiem rozek papieru. Wtedy te oczy spoglądając na płomyk gazowy błyskały jednostajnie. Twarz kobiety była wyciągnięta i ziemista jak wszystkie w tej fabryce. Na spalonych, brzydkich, żydowskich wargach co pewien czas łkał milczący uśmiech, w którym zapewne skupiło się i w który z musu zwyrodniało westchnienie zakłęstej, wiecznie łaknącej powietrza, suchotniczej piersi.

⁴⁴ *usus* (łac.) – ustalony zwyczaj, praktyka. [przypis redakcyjny]

Błysk pracowitych oczu i ten uśmiech wraz z całą czynnością przypominały szalony ruch koła maszyny, na którego obwodzie coś w pewnym miejscu migota jak płomynek świecący.

Gdy Judymowa ujrzała szwagra, ręce jej drgnęły i nie trafiły z lakiem do płomienia, a z oczu stoczyły się dwie łzy grube prędzej, nim z ust wybiegło słowo radosnego powitania. Stanęła w pracy i oczyma pełnymi łez patrzyła na gościa.

Człowiek wpychający tytoń w torebki nie widział Judyma. Nie otrzymawszy formy we właściwym momencie, spojrzął na Judymowa takim wzrokiem, jakim patrzeć by mogło chyba koło trybowe na drugie koło, gdyby tamto w biegu stanęło.

Judym podszedł do bratowej, przywitał ją skinieniem głowy i rzekł, że czekać jej będzie na dziedzińcu fabrycznym o godzinie dwunastej. Do południa zostawało nie więcej nad kwadrans czasu, więc wyszedł z sal cygarowych i czekał w sieni przy wejściu. W czarnych norach na dole siedziały tam stare baby, w milczeniu segregujące liście tytoniowe. Zasypane tabaką, wychudłe, nędzne, siwe, potworne, z czerwonymi oczami, były jak Parki⁴⁵ odprawiające tajemnicze misterium⁴⁶ swoje. Z głębi oczodołów tych istot spoglądały na Judyma, gdy czekając na bratową stał we drzwiach, źrenice o wyrazie tak srogim i pełnym zemsty, że zmuszony był ich unikać i odwrócić się plecami.

⁴⁵ *Parki* a. *Mojry* (mit. gr.) – uosabiające przeznaczenie trzy córki Nocy; dwie młodsze, Kloto i Lachezis, przedły nić ludzkiego życia, którą w godzinie śmierci przecinała najstarsza z nich, Atropos. [przypis redakcyjny]

⁴⁶ *misterium* – u staroż. Greków niedostępne dla niewtajemniczonych obrządku religijne. [przypis redakcyjny]

Skoro tylko uderzyła godzina obiadu, Judymowa pierwsza zbiegła ze schodów. Za nią wysypał się cały tłum kobiet. Bratowej doktora sprawiało to widać niemałą przyjemność, że mogła pochwalić się przed wszystkimi swym szwagrem. Mówiła ciągle i głośno:

– Kiedyż brat przyjechał? Cóż u brata słyhać? Był brat u nas na Ciepłej?

Jej brudna, sterana twarz promieniała zadowoleniem i pychą. Wargi rozchylające się od szczerego śmiechu ukazywały rzadkie, zielone zęby. Oczy świeciły się jak węgle. Wyszła w towarzystwie Judyma z bramy fabrycznej i dążąc na obiad z przyzwyczajenia co tchu pędziła ulicą. Doktor jej nie wstrzymywał i sam biegł po bruku. Dopiero gdy byli przy bramie kamienicy na Ciepłej, Wiktorowa stanęła i uderzyła się ręką po fizjonomii:

– Jezus! czegóż ja lecę jak oślica? Bratam przegnała tyli kawał.

– Nic, nic, będziemy mieli więcej czasu do rozmowy. Czy Wiktor będzie?

Twarz jej sposepniała.

– Gdzież ta! On je obiady u Wajsów, tam u jednych z fabryki. Mieszkają na Czerniakowskiej.

– No i słusznie. Trudno wymagać, żeby chodził tyli kawał drogi.

– A tak i on mówi... – rzekła prędko.

Gdy się wdrapywali na schody, doszedł Judyma zapach

mięsiwa smażonego na tłuszczach, który znał dobrze z lat dziecięcych. Przez drzwi kuchenki, otwarte na korytarz, buchało gorąco i zaduch, jak się zdawało, nie do wytrzymania. Wiktora Judyma nie było w domu. Obiad gotowała ciotka. Teraz już prawie nie spostrzegą obecnności doktora Tomasza. On także nie nasuwał się jej przed oczy i chętnie z pierwszej stancji, która pełniła zarazem obowiązki kuchni i mieszkania ciotki, wsunął się do drugiej, sypialni Judymów. Było to niskie poddasze. Sufitu dosięgało się głową. Stały tam dwa łóżka zawalone pościelą, a między nimi komoda okryta szydełkową serwetą. Nad łóżkami wisały fotografie krewnych w tuzurkach (w środku fotografia doktora w mundurze studenckim), wszystkie w ramkach wyciętych laubzegą. Gdzieś w kącie szczełwał zegar z długimi wagami. Doktor objął wzrokiem te sprzęty i niektóre z nich przypomniał sobie: były w suterenie rodziców.

Brat Wiktor nie nadszedł, w mieszkaniu było piekielnie gorąco, więc Judym wyszedł obiecując wrócić wieczorem. Z myślą ukrycia się przed skwarem, wszedł do Saskiego Ogrodu, usiadł w bocznej alei i niepostrzeżenie zapadł w marzenia. Od dawien dawna, od czasu kiedy w szkołach zaczął się uczyć dla samej nauki, snuły mu się po głowie pewne nieokreślone idee z dziedziny chemii, fizjologii. Dosięgał zawsze myślami jakiegoś potężnego światła, tysiąc razy silniejszego od elektryczności, które oczom lekarza odsłoni wnętrze płuc suchotnika. Tworzył kolosalne odkrycia w terapii gruźlicy, budował szpitale, jakich świat nie widział. Drugą chimera, która go ściagała, było

zużytkowanie nieczystości wielkich miast. Trzecią, wynalezienie jakiegoś nowego środka lokomocji, który by zniweczył siłę wzrostu miast fabrycznych i rozproszył te zbiorowiska cegieł i ludzi po całym kraju. Rojenia uczniowskie przeistoczyły się później w silne, skryte namiętności. Ileż to godzin strawił nad swoim nowym motorem! W mieszkaniu studenckim miał ką zastawiony butlami i retortami, które, zdawało się, mieściły w sobie cudowne tajemnice. Z czasem owo wielkie światło, jak aureola rozwidniająca młodość biednego studenta, przygasało pod tchnieniem krytycyzmu, ale mistyczna jego zorza strzelała przy każdej okoliczności. Miejscem, które te wielkie wynalazki miały uszczęśliwić, była zawsze „stara buda”. Od chwili zaprowadzenia nowych, Judymowych kolei datował się jej rozwój nieznanymi. Warszawa-ogrom, rozsiadła na przestrzeni mil, z sosnowymi parkami, tonąca w drzewach, gdzie skasowaną została suterena i poddasze, gdzie wytępiono gruźlicę, ospę i tyfus...

Obecnie przyszły znowu dawne widziadła. Koncepcje nieuchwytnych pomysłów, szlaki samej istoty wynalazku wdzierały się w mrok niby długie linie światła i ukazywały figury tajemnych rzeczy, które tam leżą.

W ogrodzie było mnóstwo ludzi. Judym ani się obejrzał, kiedy minęło popołudnie. Ku wieczorowi nadciągać zaczęły istne hordy Żydów, aleję główną, boczne i wszystkie dróżki zalała powódź ludzka. Nie było już gdzie spacerować, więc całe towarzystwa sterczały na ulicach – albo poruszały się kilka kroków w prawo i w lewo. Tłum ten był jaskrawo

ubrane. Kobiety miały na sobie modne barwy. Cały ich ogrom mienił się od pąsowych i jaskrawoniebieskich staników, od fioletowych i czerwonych kapeluszków z ptasimi skrzydłami albo z kwiatami, które za każdym ruchem osoby kiwały się nad jej głową. Mężczyźni fason modnych ubrań doprowadzili do stanu wulgarności, przesady i absurdu. W pięknym parku było duszno. Zdawało się, że zwieszona liście więdną, że trawy obumierają i dobrotliwy zapach lewkonii kona nie mogą zwyciężyć ludzkiego zaduchu.

O zmierzchu Judym wyszedł z ogrodu w stronę placu Teatralnego. Gdy zapalono latarnie, był na Bankowym. Jaskrawy blask rewerberu⁴⁷ padł właśnie na chodnik prowadzący w kierunku ulicy Elektoralnej. W świetle tym widać było fale ludzi spływające bezustannie za ciemną sylwetkę banku jakby w szyję naczynia. Judym stanął. Te czarne masy głów i tułowiów, sunące prędko niby mrówki, zbudziły w nim uczucie fizycznej odrazy. Zdawało mu się, że spogląda na sunące ławy robactwa. Wmieszać się w motłoch mieszkający tam, za tym placem – przენigdy! Przenigdy!

Zawrócił na miejscu z mocnym postanowieniem zobaczenia się z bratem kiedy indziej – i wszedł do wykwintnej restauracji.

Nazajutrz wstał o godzinie piątej rano i poszedł do brata. Gdy wchodził w bramę, słońce oświetlało górne części oficyn i udzieliło nawet tym biednym, różowobrudnym ścianom uroku swojego przyjsia. Zdawało się, że nędzne okna, za którymi

⁴⁷ *rewerber* – tu: latarnia uliczna. [przypis redakcyjny]

kryje się ubóstwo, te jakby znużone oczy chorego domu stoczonego wewnątrz przez biedę, wieczyście pozbawione blasku wesela, teraz, w tej jedynej chwili, otwierają się, patrzą w niebiosa i modlą się do słońca. Gdy doktor Tomasz zastukał we drzwi mieszkania, stanął w nich brat Wiktor, już ubrany. Był to słuszny mężczyzna. Nosił dużą jak łopata, zapuszczoną brodę, która otaczała jego rysy niby rama. Twarz miał bladą, nie opaloną, o skórze jak gdyby przesiąkniętej czymś czarnym. Gdy spojrzał na brata, oczy mu się zaśmiały jak u dziecka, mimo że słowa, które wymówił na przywitanie, miały prawie zimny ton urzędowy:

– Jak się masz, Tomek...

– Cóż u ciebie słyhać... – rzekł doktor, również bez czułości witając brata.

– Ano tak... idzie...

– Wiesz, odprowadzę cię.

– Dobra... – rzekł Wiktor biorąc blaszanekę.

Gdy się znaleźli w ulicy, szli przez czas pewien obok siebie w milczeniu, po prostu nie wiedząc, od czego zacząć. Wreszcie Wiktor rzekł:

– W Paryżuś był?

– Byłem.

– Teraz tu zostaniesz?

– Pewno. Trzeba będzie tu osiąść. Zobaczę, jeszcze nic nie wiem. Chciałbym tu być, ale czy wyżyję...

– No, i po tylu latach nauki jeszcze byś nie wyżył! –

uśmiechnął się z niedowierzaniem i odrobiną ironii.

– Tak ci się to zdaje.

– Pewnie, że mi się zdaje. Co ja *mogię* wiedzieć?

Judym zauważył to „mogię” i wnet go poczęło drażnić. Znowu szli milcząc. Ulice były prawie puste. Kiedy niekiedy jechał wóz z jarzynami albo pieczywem. Nadzwyczajnie hałasując przemknęła się dorożka wioząca niewyspaną osobę z jakiegoś wczesnego pociągu. O ściany kamienic rozbijał się łoskot kroków ludzi idących do pracy z blaszankami w ręku.

W pewnej chwili wyminął braci stary Żyd dźwigający na plecach w ogromnym koszu dwa wielkie półcie mięsa. Stróże na całej długości ulic rozbijali miotłami suchy kurz i brud wczorajszy.

– Mówiła mi ciotka, że przerzuciłeś się znowu... – zaczął doktor.

– A tak. Pożarłem się z Raczkim, tam z jednym majstrem. Niech go tam zresztą *jasności!*...

– O co?

– A o co? Ścierpieć my się nie mogli i dość. Mówi, że ja nie na robociarza, że w kamaszkach, w żakiecie chodzę, w krawacie... To, mówi, nie tego... A jemu *psiakrwi* co do moich kamaszków! Idę do roboty jak każdy inny *facet*, w takiej, o, koszuli i w takich portkach...

– Pewnie, ale po co się drzeć o byle co?

– E, o byle co! My ta wiedzieli, o co się drzemy... – rzekł Wiktor, spluwając.

– On mi się tylko czepiał, *drań*, ja wiem. Bo co mu do mnie! *Mogię* na mieście w święto papierowy kołpak włożyć na łeb i chodzić w tym po alejach, to i tak mu nic do tego, *chałujowi*. *Wzienem*, *zrugatem* raz i drugi – no i trza się było *wylać* z tamtej *budy*.

– Jakże ci teraz?

– Z początku była *bryndza*, ale jak raz zaprowadzili tę gruszkę Bessemera⁴⁸ czy ta jakiego, i nadałem się. Robota jest ciężka, oczy żre, ale tu wolę.

– Widzisz, to ci chcę powiedzieć, że ty może wolisz, ale Teosia musiała stanąć do roboty. Ja wczoraj byłem w tej jamie, gdzie ona chodzi.

– Ja jej nie zmuszał.

– Tyś jej nie zmuszał, ale brak zmuszał. Powiem ci, że ona w tym tytoniu długo robić nie powinna. To jest za ciężka praca.

– Teraz *letkiej* pracy mało na świecie – rzekł Wiktor obojętnie.
– Cóż ja miałem robić? Przecie nie próżnuję.

– Ja też ci nie robię wyrzutów, tylko mi żal twojej kobiety.

– I mnie jej żal, ale cóż na to poradzić... – rzekł Wiktor w tonie ironicznym, z boku rzucając okiem na brata. – Tyś wyszedł na ludzi, a my zostali w swoim stanie. Żałujesz... „mojej kobiety”... Ja to samo... Ale choćbyś żałował i przeżałował, to się psu na budę nie zda. Już nie trzeba, jak ja się staram, żeby

⁴⁸ *gruszka Bessemera* – wynaleziony przez angielskiego inżyniera, Henryka Bessemera (1813–1898), piec do wytopu stali; ma on kształt gruszki zawieszonyj w stalowym pierścieniu; wynalazek ten spowodował przewrót w przemyśle hutniczym. [przypis redakcyjny]

się wybić na ludzi...

– Myślisz, że ci ubliża to, co mówi taki Raczek!

– Nie ubliża mi! Kazałbym ja ci chodzić w grubych buciorach, w zgrzebnych gałganach, w drelichu, jak bele chłopu od kanalizacji, co ze wsi przy laź... Tabyśmy zobaczyli...

– Ubranie o wartości człowieka nie stanowi... – rzekł doktor, myśląc jednocześnie, że ta maksyma stanowi wyświechtane słowo, pasujące do treści skarg Wiktora jak kwiatek do kozucha.

Tamten szedł kilkanaście kroków nic nie mówiąc. Raptem zwrócił się do Tomasza i rzekł szorstko:

– Widzisz, tak: tyś *tera* pan, a ja taki se człowiek, mało co lepiej ubrany od naszego nieboszczyka ojca. Wzięła cię ciotka z domu, wychowała, dała cię do szkół – no i dobrze, bardzo dobrze. To mię, sumiennie ci mówię, szczerze cieszy. Twoje życie było jak różyczka w ogrodzie, a moje, uważasz... Jak się ty będziesz ubierał, mnie to nic a nic nie obchodzi, chociaż to ubranie, twoje, nosisz z tej racji, że cię, widzisz, ciotka wzięła. Bez tego to cóż byś ty był? A jak sobie ja kupię żakiet, tom do tego żakietu doszedł własnymi pazurami, jakbym go z muru wygrzebał. *Uważasz mię?*

Doktora zakłuły te słowa.

– Zdaje ci się – rzekł – że moje życie było jak różyczka w ogrodzie. Żebyś ty wiedział...

– Skąd ja mam co wiedzieć! – krzyknął prawie Wiktor. – Byłeś to brat dla mnie! Pamiętam, że ciotka raz przyjechała *drynda*, jak my oba na bosaka *łacha*li po rynsztokach. Ciebie

wzięła, boś był przystojniejszy – i koniec. Przychodziłeś do nas czasami na *jakie godzinki*, aleś był wystrojony, potem w mundurze, i boczyłeś się na mnie, obdartusa z terminu.

– Co ty...

– No, no, ja t a na wiatr nie gadam! Dopiero jakieś poszedł do uniwersytetu, zetknęliśmy się, ale to co innego, i zresztą...

– Ciotce zawdzięczam wiele – mówił doktor patrząc w ziemię.

– Gdyby nie ona, zostałbym był na naszym podwórzu. To prawda. Ona mię w świat wepchnęła, ale też com ja z jej powodu przeżył!

– Tyś przeżył?

– Wiesz przecie, kim była nasza ciotka.

– Przecie, że wiem.

– Była to podobno niegdyś cudna dziewczyna. Toteż prędko z sutereny ruszyła w świat...

– Cóż ty będziesz *we flanelę* obwijał? „Ruszyła w świat” – tere fere... To była, podobno, najpierwsza *granda* w Warszawie! Jeden *facet*, co mu ojciec nieboszczyk buty robił, rozpowiadał staremu, że to, mówię ci, hrabiowie, nie hrabiowie...

– No dobrze, dobrze! – mruknął Tomasz z niecierpliwością.

– Gniewa cię to? – śmiał się tamten ordynarnie.

– Chcę ci powiedzieć, jak było, boś o tym zaczął, a nie wiesz: zebrała sobie kupę pieniędzy, mieszkanie najęła na drugim piętrze, cztery pokoje... miała śliczne meble. Czego tam nie było!

– Podobno szyk najpierwszy!

– Tak jeszcze stała, gdy mnie wzięła do siebie. Była już wtedy przekwitła, życia dawniejszego nie prowadziła, ale bywało u niej mnóstwo znajomych. Grało to w karty, piło. Przychodzili najrozmaitsi ludzie, młode i stare baby. Tam ja to rosłem „jak różyczka w ogródku”... – mówił z bolesnym uśmiechem. – Pierwszych lat byłem na posyłkach, froterowałem, czyściłem posadzki, myłem w kuchni garnki, rondle, nastawiałem samowary i latałem, latałem bez końca za sprawunkami. Jeszcze dziś pamiętam ten dom, te schody kuchenne! Ile ja tam cierpień... Może we dwa lata wzięła ciotka i wynajęła pokój w korytarzu z osobnym wejściem jednemu studentowi. Płacił niedużo, ale za to miał obowiązek mnie uczyć i przygotowywać do gimnazjum. Ten *facet* mię uczył sumiennie i przygotował. Radek się nazywał... Poszedłem do *sztuby*. Ciotka płaciła wpis, nie mogę powiedzieć, ale też za to używała na mnie co się zmieści. Dowiedziałem się później, gdy byłem starszy, że dużo przegrała w karty. Wówczas nie rozumiałem wcale tego, co się tam działo. Doświadczałem tylko na sobie bez ustanku, że ciotka jest coraz bardziej skąpa i wściekła. Formalnie wściekła. Opanowywała ją czasami jakaś furia i gnała po pokojach, z jednego w drugi. Nie daj Boże wpaść jej wtedy w ręce! Sypiałem zawsze w przedpokoju, na sienniku, który wolno mi było przywlec z ciemnego pasażyka za pokojem ciotki wówczas dopiero, gdy się już wszyscy goście od niej wynieśli. Kładłem się spać późno w nocy, a wstawać musiałem najwcześniej ze wszystkich. Z czasem gości przychodziło coraz mniej, ale za to

wynajęła trzy pokoje, do których wchodziło się ze wspólnego korytarza, sublokatorom. I wtedy nie wolno mi było kłaść się spać przed powrotem ostatniego z tych nędznych nocnych włóczykijów. Wstawać musiałem, gdy jeszcze wszyscy spali. Prał mię, kto chciał: ciotka, służąca, lokatorowie, nawet stróż w bramie wlepił mi, jeśli nie kułaka w plecy, to przynajmniej słowo, często twardsze od pięści. I nie było apelacji. Moje lekcje, gdy Radek się wyprowadził po skończeniu budy, odrabiałem w kuchni, na stole zawalonym rondlami, wpośród ziemniaków i masła. Ileż to razy ciotka mię wyganiała precz, za byle winę! Ile razy musiałem błagać na klęczkach, żeby mię znowu przyjęła do swego „domu”! Czasami w przystępie świetnego humoru dawała mi swoje rozklapane trzewiki, w których ku szczerzej radości całego gimnazjum chodzić musiałem. Trafiała się zima, kiedy *sypało* się w prunelowych pantoflach z wysokimi obcasami, albo inna, w której całym ciągu mogłeś być widzieć na śniegu ślad moich bosych nóg, choć niby to były okryte przyszwami. Jakem się tylko przywłókł do piątej klasy, *bryknąłem* stamtąd. Ale całe moje dzieciństwo, cała pierwsza młodość upłynęły w nieopisanym, wiecznym przestachu, w głuchej nędzy, którą teraz dopiero pojmuję. A zresztą, a zresztą... co to gadać...

– To ci ciocia dopiero... – śmiał się Wiktor. – Nieboszczyk ojciec nie lubił o niej gadać, o tej ciotce, a jak się tylko *urżnął* zdrowo, to zaraz na nią kłął co się zmieści.

Tomasz machnął ręką i szedł w milczeniu.

Ulice pełne już były światła słonecznego. Przy domach

otulonych drzewami słały się fiołkowe, pachnące cienie.

Tomasz i Wiktor zawrócili właśnie w kierunku dzielnicy fabrycznej i stanęli na wzgórzu, skąd ją całą można było widzieć. Z głębi odległych murów ciągnęła w szczerze pole Wisła, wygięta jak ogromny łuk z jasnego srebra. Zdawało się, że płonie białym blaskiem, zapalona przez słońce poranne. Spragnione oko chwyciło daleki widok tej swobodnej wody, zielonej równiny łąk, sinych lasów, nikłymi liniami ginących w przestworzu. Bliżej nad Wisłą ciemniały kępy jakichś drzew rozłożystych.

Bracia usiedli pod murem ogrodowym na trawniku i milcząc patrzyli w krajobraz, który mieli przed sobą. Z niziny fabrycznej, z owej masy ślepych murów bez okien, z wąskich i podłużnych budowli, które cienkimi rurami wydychały kłęby pary, przecudne w promieniach słońca, jak ruchome bryły srebrne, dochodził niemilknący łoskot żelaza. Doktor Tomasz ulegał złudzeniu, że te dźwięczne uderzenia młotów, owe jęki jak gdyby targanych łańcuchów wydaje para buchająca na wsze strony z dachów okrytych zadymioną papą. Zdawało mu się, że drżący z jakiegoś nienasyconego pośpiechu, dziki, zdławiony i twardy ryk motorów daje się umiejscowić, że go widać w ogromnych kłębach burego dymu, magających ciągle i prędkie półkola. Ten dym mnóstwa wysokich kominów z cegły i wąskich, okrągłych, z blachy spojonej, gangrenował już przestwór czystego nieba, zniżał się, wałęsał nad gmachami i zalewał ulice niby szara mgła, w której traciły wyrazistość kształtów domy, latarnie, wozy i ludzie. Kiedy niekiedy dawały

się uczuć w równych odstępach czasu dwa idące po sobie ciosy młota parowego, dzięki którym ziemia drżała w odległości kilkudziesięciu kroków od fabryki. Po rozbitym bruku ulicy toczyły się wozy ciągnione przez ogromne koniska. Wehikuł taki składający się z dwóch słupów złączonych, które leżąc na grubych osiach dźwigały ciężar żelaza, przewłóczył z miejsca na miejsce bryły „gęsi” surowcowych⁴⁹, podobne do zastygłych skib grudy, płaskie sztaby żelaza, proste albo zwinięte jak wstążki relsy, drągi ogromne części mostów, krat, maszyn. Niektóre z nich słychać było w sąsiedniej ulicy. Jakieś dwa ogony długich kutych sztab, wysunięte poza tylne koła wozu, przy każdym jego wstrząśnieniu trzepały się o siebie wydając wrzask nieznośny. Zdawało się, że to wściekłość obłąkana, skuta łańcuchami, w diabelskiej furii wali ogonem i wyszczekuje w męczarni ostatnie swoje tchnienie.

Kiedy Judymowie siedzieli, przeczekując nerwami wędrówkę jednego z najhałaśliwszych transportów, nagle z drugiego trotaru dał się słyszeć głos:

– Judym! Czegóż ty tam siedzisz... Judym!

Bracia nierychło ten głos usłyszeli. Wreszcie Wiktor rzucił okiem i wnet wstał z miejsca. Z drugiej strony ulicy szedł młody człowiek wysokiego wzrostu, blondyn, z jasną, krótką brodą i niebieskimi oczami. Twarz jego była po fabrycznemu przybladła, ale usta zachowały jeszcze uśmiech i barwę zdrowia.

⁴⁹ *gęsi surowcowe* – odlew surowego żelaza w formie zwanej „gęsią”. [przypis redakcyjny]

Miał na sobie zniszczone ubranie i perkalową koszulę. Głowę jego okrywał duży kapelusz z rondem w postaci skrzydeł.

– To nasz nowy pomocnik tego inżyniera, co pierwszy ustawiał „gruszkę” – rzekł Wiktor.

Młody człowiek zbliżył się do nich i zaczął rozmawiać. Co parę chwil rzucał bystre, jasne, prawdziwie badawcze spojrzenia na Tomasza.

– To mój brat – rzekł Wiktor – doktor. Wrócił w tych dniach z Paryża.

Technik wyciągnął rękę i powiedział niewyraźnie, jak zwykle przy prezentacji, jakieś nazwisko.

Rozmawiając o rzeczach obojętnych, wszyscy trzej schodzili wolno w dół ulicy. Wiktor, pełen zadowolenia, że może się pochwalić takim bratem, choć usiłował tego nie zdradzać, mówił dużo, a wreszcie nie pytając Tomasza prosił młodego inżynierka, czyby doktor nie mógł zwiedzić fabryki, a osobliwie stalowni. Ten wahał się przez chwilę, a wreszcie przyrzekł protegować gościa. Zeszli w wąską uliczkę utworzoną przez nagie mury fabryk i stanęli u ciasnych drzwi. Była już zapewne godzina siódma. Na podwórzu fabrycznym otoczył ich szcęk młotów i głucho warczenie motorów dynamo-elektrycznych o sile blisko tysiąca koni. Wiktor gdzieś znikł i doktor został sam na sam z młodym zawodowcem. Ten prowadził go przez sale, gdzie heblowano sztaby żelaza długie kilkadziesiąt łokci, gdzie borowano w nich dziury za pomocą świdrów i gdzie skromne maszynki w mgnieniu żrenicy wybijały w płytach grubych na

dwa palce duże otwory z taką łatwością, jakby rzecz szła o przedziurawienie palcem plastra miodu. W jednym miejscu nitowano kraty mostów za pomocą śrub rozpalonych do białości, gdzie indziej cięto nożycami sztaby jak płótno. Z ogromnych izb warsztatowych Judym przeszedł do pustej hali, gdzie pracowało zaledwie kilkunastu ludzi. Tu spajano relsy.

Doktor Tomasz ciekawie przyglądał się tej robocie. Mało tam miały do czynienia maszyny. Działyły za to wyłącznie muskuły i młoty na długich toporzyskach. W rogu sali dłuwał nad czymś mężczyzna o takim kadłubie, o takich bryłach mięśni, że Judym przypatrywał mu się jakby nieznanemu gatunkowi człowieka. Widział podobne kłęby bicepsów, ale tylko w marmurze i na rysunkach. Zdawało się, że gdyby to ramię podniosło się, ta pięść w mur trzasnęła, toby go w mgnieniu oka zgruchotała na szczątki. I był to wspaniały widok, gdy siłacz ujął swój młot i zaczął do spółki z towarzyszem łączyć uderzeniami dwa rozpalone końce szyn. Doktorowi nie chciało się stamtąd wychodzić. Z żywą ciekawością przyglądał się siłaczowi, rozpatrywał i przepowiadał sobie na nim muskuły. Z daleka posuwając się za swym inżynierem, cieszył się widokiem kowalskiego kadłuba.

– To także silny chłop! – rzekł towarzysz.

– Który?

– A ten...

Obok potężnego kowala stał bokiem odwrócony człowiek młody, lat może dwudziestu ośmiu, z twarzą tak piękną, że Judym ujrzawszy ją stanął jak wryty. Były to ostre rysy chudej

twarży, regularne i jakby wyrzeźbione z kości. Górną wargę ocieniał mały, czarny wąsik. Człowiek ten był prawie szczupły, tylko jakoś przedziwnie kształtny. Ruchy miał nie szybkie, lecz pewne swego celu, nieodzowne i harmonijne.

– Czyż to także kowal? – szepnął Judym. – W porównaniu z Herkulesem wygląda jak chrabąszcz.

– Ej, tak źle nie jest... – uśmiechnął się przewodnik.

Wkrótce potem chudy robotnik, gdy kolej na niego przysła, dźwignął swój młot i zaczął uderzać. Wtedy dopiero Judym zobaczył. Młot obiegał krąg rozsunięty i trzaskał w żelazo z ogłuszającą potęgą. Nagie ręce wyrzucały go w prawo i w tył i zadawały sztabie cios z boku, a od samej ziemi poczęły. Korpus ciała stał prosto, jakby w tej czynności nie brał udziału. Tylko biodra wzdrygały się pewnym, minimalnym ruchem, który ukazywał stopień samej siły, i mięśnie łopatek naciągały koszulę. Snopy iskier wyfruwały spod młota w kształcie gwiazd błękitnych i złotych. Otaczały wspaniałą figurę rycerza jakby aureolą, należną wielkiej mocy i cudownej piękności. Po ostatnim uderzeniu młody kowal usunął się w kąt hali melodyjnym ruchem, wsparł ręce na toporzysku i świstał przez zęby. Krople potu stały na jego czole i płynęły strugami z usmolonej twarzy.

Z szopy kowalskiej wchodziło się do odlewni żelaza i stali. Dym słomy wolno węglejącej, zapach przeróżnych kwasów i duszne, do ostatka wynaturzone powietrze wypełniały te hale grobowe, czarne, ziejące ogniem. Grunt ich zryty i sprzewracany

dymił się i parzył nogi. Czarne, ranami pokryte ściany dygotały jak gdyby z wiecznego bólu. W jednym końcu olbrzymiej szopy stało naczynie w kształcie gruszki. Podstawa jego była szeroka, szczyt zwężał się i zakończony był niedużym otworem. Ta wielka retorta obracała się na poziomej, wewnątrz próżnej osi, która wprowadzała do środka ogrzane powietrze z maszyny wiatrowej. Całe to naczynie mogło przechylać się w taki sposób, że przez otwór górny wylewała się we właściwej chwili zawartość. Gdy Judym wszedł do sali, „gruszka” stała pionowo, naładowana warstwami surowca i koksu. Puszczono prąd powietrza o temperaturze ośmiuset stopni, które z dołu wdziera się do wnętrza i dmie z olbrzymią siłą. Wówczas przez otwór w górze zaczął wybuchać czarny kopeć, w którym błyskał kiedy niekiedy rozdymający się płomień. Mroczne kłęby napełniły budynek i wypływały przez ogromne wrota. Dym strzelał w górę ze wzrastającą szybkością, był coraz bielszy i cieńszy. W pewnych odstępach czasu miliardy gwiazd leciały z jego głębi. Gdy koks spalił się całkiem, zaczął spomiędzy nich buchać z przeraźliwym hukiem wielki płomień, długi, drgający. Zrazu był czerwony, później bladł, błękitniał, wreszcie przybrał jakiś kolor, który oślepiał. W samym prawie ogniu, tuż przy gruszce, było kilku ludzi. Na czele ich stał młody technik. Iskry przepaliły mu rondo kapelusza, zniszczyły ubranie. Twarz jego wznosiła się ku płomieniowi. Zakrwawione oczy badały kolor ognia, ażeby po jego barwie osądzić, czy stał się już wytwarza.

W pewnej chwili dał rozkaz, ażeby wrzucić w paszczę

naczynia krzemionkę (*silicium*), która się w tej temperaturze 1400 stopni asymiluje mechanicznie z żelazem.

Płomień szalał. Słup jego, zwięzony jak miecz obosieczny, wydawał zduszony ryk – i leciał. Zdawało się, że ten ogień wydrze się ze swego miejsca, zerwie i buchnie w górę. Wzrok nie był w stanie znieść blasku, który rozświetlił ponurą halę.

Wówczas na galerii z żelazną balustradą, za płomieniem, a w połowie jego wysokości, zdawało się, że w samym ogniu, jak salamandra, ukazała się czarna figura.

Doktor ciekawie wlepił wzrok i śledził ruchy tej postaci.

Robotnik długie narzędzie, pewien rodzaj miotły kominiarskiej, zanurzył w ciecz parskającą.

Wtedy doktor poznał w tej czarnej osobie swego brata – i serce zapaliło się w nim, jakby w nie zleciała iskra z płomienistego ogniska.

Mrzonki

Powrót z wywczasów letnich doktora Antoniego Czernisza stanowił dla świata lekarskiego jak gdyby otwarcie roku. Doktor Czernisz był prawdziwie niezwykłym człowiekiem. Jako lekarz zajął jedno z pierwszych miejsc nie tylko w Warszawie. Imię jego było na ustach publiczności, powtarzało się w pismach specjalnych i nieobce było naukowemu światu zagranicy. Owszem, wyznać trzeba, że tam cieszyło się większym uznaniem niż w domu.

Dr Czernisz pochodził ze sfery ludzi biednych. O własnej sile ukończył nauki, zdobył sobie imię w świecie i byt. Stosunkowo dość późno, bo dopiero po czterdziestym roku życia, gdy już był człowiekiem zamożnym, ożenił się z kobietą wielkiej piękności. Pani Czerniszowa była „jedyną nadzieją” zrujnowanej rodziny półarystokratycznej. Wyszła za mąż nie z miłości prawdopodobnie, lecz z przekonania. Była to swego czasu żywa bojowniczką emancypacji. Z biegiem czasu dzieci przychodzące na świat, obowiązki i stosunki usunęły ją od życia szerszego, ale nie zburzyły jej aspiracji i wierzeń. Do sprawy uczciwej zawsze przyłożyła rękę. Już to nie były dawne prace tchnące entuzjazmem, ale jeszcze tkwił w nich pewien umiarkowany zapał. W salonach doktorstwa Czerniszów gromadziła się sfera myśląca. Wszystko, co Warszawa miała wybitnego, znajdowało tam gościnę. Przyjęcia rozłożone były w ten sposób, że jednego

tygodnia w umówione środy zbierała się inteligencja wszelkich zawodów, drugiego – tylko lekarze. Jeżeli w dniu niewłaściwym przybłąkał się ktoś spoza koła medycznego, był gościem pani. Grono lekarskie nie trwoniło swych zebrań środowych na gawędkę. Zgromadzenia te, początkowo obejmujące grupę najbliższych przyjaciół gospodarza, literalnie wciągały ludzi. Jeżeli kto miał ukończoną pracę, to ją tam czytał; jeżeli nastąpił się komu w praktyce niezwykły wypadek, to tam był podawany do wiadomości kolegów. Przybył ktoś ze świata, z wycieczki naukowej, tam zdawał sprawę z tego, co widział i do stosowania w kraju, w granicach sztuki lekarskiej, za słuszne uważał. Posiedzenia nie miały charakteru napuszonego, ale też nie trąciły szlafrokiem. Liczono się z nimi, a co ważniejsza, lubiono je. Gospodarz, człowiek skromny a mądry, pełen dystynkcji i słodczy, pani domu czarująca każdym słowem i gestem, salony, w których znajdowało się urządzenie wytworne, niejedno dzieło sztuki, a nade wszystko owa atmosfera myśli, wyższości prawdziwej i kultury – przyciągały wszystkich.

Judym, który doktora Czernisza znał będąc jeszcze studentem, złożył mu w pierwszych dniach września swe uszanowanie i został zaproszony do koła.

W połowie następnego miesiąca odbyła się pierwsza środa lekarska. Dr Tomasz wybrał się na to zgromadzenie... z odczytem. Wahał się bardzo długo, lękał i zapalał, aż wreszcie postanowił przedstawić rzecz swoją. Napisał ją dawno, jeszcze w Paryżu. Teraz przypiął do niej wstęp i trochę

cyfr statystycznych miejscowych. Dr Czernisz zachęcał go do czytania tej pracy (której zresztą wcale nie znał) usilnie i wymownie, prosił, a nawet zobowiązywał.

– Jak to? – mówił – kolega pytasz się, czy masz nam wyrazić myśl, którą przywiozłeś z Paryża po dwuletnich blisko studiach... Więc cóż mamy czytać, gdy się zejdziemy? To, co wiemy wszyscy, co tu między sobą obgadaliśmy tysiąc razy?...

Judyma przekonywały te argumenty tym skuteczniej, że za granicą zdarzało mu się czytać w towarzystwach różne wypracowania. Było w tym nawet nieco ambicji z lichszego kruszcu... Powstrzymywała go tylko jakaś trwoga czysto lokalna. W dniu oznaczonym jeszcze raz zbadał swój rękopis, ubrał się w czarne szaty i o zmroku wyruszył. Gdy miał już przekroczyć bramę domu, uczuł mocne ściśnienie w gardle, które wnet zwyrodniało w zupełną chęć odwrotu. Była nawet chwila zupełnego tchórzostwa... Mimo to przycisnął wreszcie guzik dzwonka, nad którym widniało nazwisko „Dr Czernisz”. Wnet usłyszał z bólem w głowie kołatanie we drzwiach zasuwki, szereg tępych dźwięków, wydających coś jak bełkot czy jak śmiech szydery...

Wszedł na marmurowe schody zasłane szerokim, barwnym chodnikiem, do rzęsiście oświetlonego przedpokoju i poczuł na ramieniu dłoń gospodarza. Otoczył go gwar mężczyzn żywo rozmawiających.

Niezgrabnie, potykając się na dywanach, zawadzając o meble, przyszedł wreszcie, prowadzony przez Czernisza, do kozetki,

z której podnosiła się śliczna kobieta. Miała może lat trzydzieści. Była ubrana bez elegancji, ale z takim wdziękiem obłóczyły ją te proste suknie, że Judym uczuł zaraz swoją wrodzoną szewską strachliwość i wprowadził w czyn niemniej szewskie ukłony oraz maniery. Pani Czerniszowa spostrzegła to jego stropienie się i wnet nie tylko zrozumiała je z całą żywością natur szlchetnych, ale sama czuła się równie zmieszaną i nieszczęśliwą. W tej chwili dr Tomasz przypomniał sobie, że bez względu na ten brak jasności umysłu, który w danej chwili przechodził, ma jeszcze czytać, zabrać głos wśród tych ludzi obcych, pewnych siebie, przygotowanych do sądu, do rozmowy i do wyładowania konceptu.

Doktorowa mówiła z nim o Paryżu i usiłowała to sprawić, ażeby się poczuł swobodnym. W części jej się to udało.

Judym powziął dla niej rozpaczliwą sympatię. Zaczął mówić... Tymczasem ktoś inny przysiadł się z lewej strony, ktoś trzeci odwołał ją w drugi koniec salonu.

Rozglądając się, gdy sam został, Judym spostrzegł wielu lekarzy. Znał ich z widzenia, ze szpitala i z ulicy. Uściśnieniem ręki mógł przywitać ledwie paru. Siedział w swym fotelu sztywnie, ze zdrętwiałymi nogami, które jak kłody tkwiły na miękkim dywanie – i przechodził męczarnie oczekiwania. Co chwila u drzwi brzęczał dzwonek i nowa osoba ukazywała się w jasnym świetle. Gdy już salon i przyległe gabinety napełniły się zupełnie, dr Czernisz swym cichym, miękkim głosem zawiadomił zebranych, iż kolega dr Judym, świeżo przybyły

z Paryża, odczyta pracę swą pod tytułem... *Kilka uwag czy Słówko w sprawie higieny*... Judym słuchał tego zawiadomienia z formalnym przerażeniem. Jednakże gdy oczy zgromadzonych zwróciły się do niego, ochłódł, wstał pewien siebie, zbliżył się do małego stoliczka, wydobył swój rękopis z bocznej kieszeni surduta. Gwar wolno, jakby niechętnie, zamieniał się na szept, w którym brzmiał dźwięk mętny... Judym... Judym... niby akord gasnący w przestrzeni.

Dr Tomasz zaczął czytać. We wstępie, ukutym robotą kowalską ze zdań i wyrazów pełnych erudycji, była mowa o współczesnym stanie higieny. Nie tylko sentencje, w których ten sam rzeczownik powtarzał się kilkanaście razy, ale i myśli były twarde tudzież znane jak *Powrót taty*. Prelegent czuł na sobie i widział niby we mgle spojrzenia zimne, ostre i już ubarwione drwiną. Ale to mu dobrze zrobiło. Czytał o nowych usiłowaniach w sprawie dezynfekcji, stosowanych w szpitalach, które zwiedził, o nowych środkach i zabiegach, na przykład o chinozolu, o przeróżnych stosowaniach sublimatu, o wszystkim, słowem, co z książek i czasopism obcych wygrabił. Zaczęło to poniekąd interesować słuchaczy. Ciekawość ich wzrosła, gdy opisywał nowe środki dezynfekcjonowania mieszkań prywatnych, jak niepolimeryzowany formaldehyd – i inne. – Ta kwestia wypełniła pierwszą część rozprawki.

Na początku drugiej Judym zadał sobie pytanie, co nauka, tak bardzo w ogóle interesująca się sprawą zdrowotności, przedsięwzięje dla higieny życia motłochu. Ażeby zbadać tę

kwestię ze stron rozmaitych, zaczął opowieść o zjawiskach, które miał możliwość widzieć w Paryżu i gdzie indziej. Mówił tedy o trybie życia tak zwanej armii rezerwowej przemysłu, o bandach koczujących, przepojonych absyntem, balujących w sali du Vieux-Chêne, przy ulicy Mouffetard, albo w sali de la Guillotine itd. Była to długa historia.

Słuchano jej z pewnym zajęciem. Prelegent opuściwszy ten przedmiot zwrócił się do opisu instytucji noclegowej, Château-Rouge.

– Chodziłem tam często – mówił – a nawet, wyznać muszę, spędziłem w tej norze jedną całą dobę. Nigdy nie wyjdzie mi z pamięci ten sen nocy zimowej. Wchodzi się tam z małej uliczki Galande, leżącej w sąsiedztwie Notre-Dame, w najstarszej dzielnicy paryskiej. W pobliżu kwitnie sławny szynk Père-Lunettes. Klientela dawnego pałacu „pięknej Gabrieli” (d’Estrées)⁵⁰ jest dwojakiego gatunku. Pierwszą stanowią „goście” zwiedzający, drugą – biedacy, którzy tu znajdują tani absynt i kilkugodzinny przytułek. Tak zwana *consommation*⁵¹ kosztuje w Château-Rouge 15 centymów, za co gość ma prawo siedzenia przy stole tudzież oparcia dwu rąk i głowy na jego krawędzi aż do godziny drugiej w nocy. W czasie mroźnych i dżdżystych wieczorów goście, z których,

⁵⁰ *d’Estrées, Gabrielle* (1570/1573–1599) – księżna Beaufort i Verneuil, markiza Monceaux, kochanka króla fr. Henryka IV (1553–1610). [przypis redakcyjny]

⁵¹ *consommation* (fr.) – najniższa obowiązująca konsumpcja, uprawniająca do zajęcia miejsca w restauracji czy kawiarni. [przypis redakcyjny]

rzecz prosta, ani jeden nie posiada własnego mieszkania, leżą po prostu jedni na drugich. Wyrzuceni po pierwszej w nocy, rozłazą się w cztery strony świata. Jedni idą spać pod mosty, na fortyfikacje, do Lasku Bulońskiego, na Vincennes... Inni, którzy mają w kieszeni kilkanaście groszaków, szukają jakiegoś *marchand de sommeil*⁵². Największa ilość nocuje w Château, po czym jedni idą do Hal Centralnych, ażeby za dwa *sous*⁵³ spożyć *soupe au riz*⁵⁴, a w ciągu dnia za kilkanaście, czasami za kilkadziesiąt centymów pomagać urzędowym tragarzom. Inni, zbieracze ogryzków papierosowych, niedopałków cygar, czekają przy pomniku E. Doleta⁵⁵, na placu Maubert, już o godzinie szóstej rano, i robotnikom dążącym do fabryk sprzedają torebki z wytrąśniętym tytoniem po 10 centymów sztuka. Château-Rouge może w sobie pomieścić kilkaset osób. W zimowe noce bywa ich tam pięćset. W pierwszej izbie z bufetem zbierają się przeważnie kobiety i dzieci, ponieważ kopci się tam w blaszanym piecu. W drugiej, dawnej sypialni pięknej kochanki Henryka IV, leżą na gołej podłodze sami mężczyźni. Za prawo snu do drugiej w nocy właściciel pobiera od każdego 10 centymów. W izbie trzeciej, ozdobionej freskami, którą zowią „senatem”, ludzie śpią

⁵² *marchand de sommeil* (fr.) – dosł. handlarz snem (chodzi o właściciela taniego domu noclegowego). [przypis redakcyjny]

⁵³ *sou* (fr.) – daw. drobna moneta fr. (dwudziesta część franka). [przypis redakcyjny]

⁵⁴ *soupe au riz* (fr.) – zupa z ryżu. [przypis redakcyjny]

⁵⁵ *Dolet, Étienne* (1509–1546) – drukarz i pisarz fr. okresu Odrodzenia, stracony za postępowe poglądy na placu Maubert, gdzie od 1887 r. stoi jego pomnik. [przypis redakcyjny]

na stołach i na ziemi. Tam zbieracze niedopałków wydmuchują z gilz swój towar i układają go w torebki, tam *les dos*⁵⁶ czekają cierpliwie na swe *marmittes*⁵⁷, nocne pracownice, które ich utrzymują. Tam śpią znużeni akrobaci podwórzowi, częstokroć tatuowani, drobni rzemieślnicy, ludzie, których zajęcie stanowi pławienie psów w rzece, otwieranie dorożek przy dworcach kolejowych, wyławianie zdechłych kotów, i inne farchy, nie nadające się do ogłoszenia. Z lewej strony od „senatu” jest izba, zwana *salon des morts*⁵⁸, gdzie pokotem leżą pijani, chorzy albo osoby cieszące się względami gospodarza. Istnieje wreszcie tzw. „salon”, z freskami wyobrażającymi dzieje zbrodniarza Gamahu, zabójcy M-me Bannerich. Zwykle jakiś nędznik objaśnia te tajemnicze bohomyzy gościom zwiedzającym albo im śpiewa w *argot parisien*⁵⁹ piosenki, które ukazują bezdenną nędzę rodu ludzkiego, jak ta, na przykład, zaczynająca się od słów:

C'est de la prison que j't'écris;
Mon pauv' Polyte,
Hier je n'sais pas c'qui m'a pris,
A la visite;
C'est des maladi's qui s'voient pas,
Quand ça s'déclare,
N'empêch' qu'aujourd'hui j'suis dans l'tas

⁵⁶ *les dos* – w gwarze fr.: sutenerzy, alfonsi. [przypis redakcyjny]

⁵⁷ *marmittes* – w gwarze fr.: dziewczyny uliczne. [przypis redakcyjny]

⁵⁸ *salon des morts* (fr.) – salon umarłych. [przypis redakcyjny]

⁵⁹ *argot parisien* (fr.) – gwara paryska. [przypis redakcyjny]

Kiedy do Château-Rouge wszedłem po raz pierwszy, miałem na głowie cylinder, więc uprzejmy właściciel pałacu wziął mnie za Anglika zwiedzającego osobliwości miasta i z lampą w ręce oprowadzał po swej instytucji. Była to noc późna. Rozmowa nasza i światło budziły niektórych gości. Spod muru podniosła się uliczna dziewczyna w łachmanach, z twarzą obrzękłą, spieczoną przez jakiś ogień wewnętrzny, i przez kilka minut patrzyła na mnie dużymi oczami. Ten wzrok był tak straszliwy, tak nieopisany, że, jeśli wolno użyć słów poety: „aż dotąd pali moją duszę”⁶¹

Tego rodzaju wyskok liryczny zdziwił słuchających. Poczytywano go za zwrot krasomówczy i puszczono płazem niefortunną przygrywkę na sentymentalnej fujarce. Judym tymczasem uczułem w sobie istotny „ogień”, który pali duszę. Opowiadał o dzielnicy Cité Jeanne d’Arc, w sąsiedztwie szpitala Salpêtrière, mieszczącej kilkadziesiąt mieszkań wyrobniczych. Każda familia ma tam swój kąt, lecz wszyscy przez cienkie ściany słyszą nawzajem swe kłótnie; dzieci całymi gromadami snują się po schodach, rynsztokach i ulicy, zarażając się wzajemnie

⁶⁰ *c’est de la prison que j’t’écris (...)* a Saint Lazare (fr.) – Piszę do ciebie z więzienia, / mój biedny Hipolicie, / nie wiem sama, co mi się wczoraj stało / w czasie wizyty; / to jedna z chorób, których się nie dostrzega, / kiedy się zaczynają, / co nie przeszkadza, / że dziś jestem z całą bandą / u Świętego Łazarza! [przypis redakcyjny]

⁶¹ *aż dotąd pali moją duszę* – przytoczone słowa (w trochę zmienionym brzmieniu) pochodzą z wiersza Adama Asnyka *Ta tza*. [przypis redakcyjny]

chorobami i zepsuciem. Kobiety żyją w nierządzie, mężczyźni hulają. Nawet ten cień ogniska domowego znika u mieszkańców Cité Dore, Cité des Khroumirs oraz Cité de Femme en Culotte za północno-zachodnimi fortyfikacjami. Jedno z takich obozowisk składa się z alei chałup otoczonych śmietnikami, po których łąziła dawniej właścicielka gruntu, eks-śmieciarka, nie wiadomo czemu w męskie szaty ubrana, i zbierała komorne. Drugie zbiorowisko składa się z istnych chlewów wzniesionych na wolnych terenach, gdzie dzieci śpią na kupach gałganów i brudu, gdzie Haussonville⁶² widział wiekową niewiastę skrobiącą żyły mięsne ze starej kości śmietnikowej na skórę szerniałego chleba – tudzież parę starców, „mającą za mieszkanie budę na kołach”, w której ci „ludzie” przenosili się z jednej *cité* do drugiej.

Niech nas to przecież nie przyprawia o smętek. I my mamy swój własny „Paryż” za murem powązkowskim⁶³ oraz dzielnicę żydowską wcale nie gorszą od Cité des Khroumirs. Warto choć raz w życiu przejść się zaludnionymi ulicami w stronę żydowskiego cmentarza. Można tam zobaczyć wnętrza pracowni, fabryczki, warsztaty i mieszkania, o jakich się filozofom nie śniło⁶⁴. Można zobaczyć całe rodziny sypiające

⁶² *Haussonville, Gabriel* (1843–1924) – konserwatywny polityk i pisarz francuski. [przypis redakcyjny]

⁶³ „Paryż” za murem powązkowskim – aluzja do placu Parysowskiego, którego okolice zamieszkiwała uboga ludność Warszawy. [przypis redakcyjny]

⁶⁴ *o jakich się filozofom nie śniło* – ironiczna aluzja do słów Hamleta o dziwach na ziemi i w niebie z tragedii Shakespeare’a. [przypis edytorski]

pod pułapami sklepików, gdzie już nie ma ani światła, ani powietrza. W tym samym gnieździe kilku rodzin leżą stopy wiktuałów, załatwiają się rzeczy handlowe, przemysłowe, familijne, miłosne i łotrowskie, praży się jadło na śmierdzących tłuszczach, kaszlą i plują suchotnicy, rodzą się dzieci i jęczą przeróżni nieuleczalni wlokący kajdany żywota: Te miejsca odrażające wzdychają, gdy się przechodzi. A jedynym na to wszystko lekarstwem jest antysemityzm.

A na wsi? Czyliż nie jest zjawiskiem pospolitym lokowanie dwu rodzin z mnóstwem dzieci w jednej izbie, a raczej w jednym chlewie folwarcznym, gdzie znajduje się spiżarnia, odgradzona deskami, z kupą gnijących ziemniaków i zbiorem żywności, jak kapusta, buraki itd.? Robotnicy niezonaci (fornale), tak zwani stołownicy, mięso dostają tylko na Wielkanoc i Boże Narodzenie, a tłuszcz w stawie okraszony stęchłą słoniną, czyli tzw. sadłem, w homeopatycznej⁶⁵ dozie, gdyż przy większej ilości, z racji silnego odoru i smaku sadła, stawa nie byłaby jadalną. Specjalnego pomieszczenia dla siebie ci ludzie nie mają. Śpią w stajniach i oborach pod żłobami, dziewczęta zaś w jednej jakiejś izbie, nierzadko razem z kupą mężczyzn. U żonatych parobków w jednej izbie, wśród błota zalegającego od ścian na wiosnę, hodują się razem dzieci i prosięta.

Zgromadzeni przyjmowali te wszystkie szczegóły w milczeniu, które nie wiedzieć co oznaczało. Tymczasem mówca wchodził w fazę, o jakiej marzył. Uczuł w sobie jakby

⁶⁵ homeopatyczny – tu: drobny, nikły. [przypis redakcyjny]

zarzucenie się żelaznego haka na czekające ogniwo i szarpnięcie całej duszy na wysokość zimnego męstwa. Wówczas dowodził, że jakkolwiek tego rodzaju objawy dzikości są rezultatem bardzo wielu przyczyn, to przecież mają także jedną – w obojętności lekarzy.

– Umiemy – mówił – pilnie tępić mikroby w sypialni bogacza, ale ze spokojem wyłączamy z zakresu naszego widzenia fakt przemieszkiwania dzieci pospołu z prosiętami. Któryż z medyków tego wieku zajął się higieną hotelu Chateau-Rouge? Kto z nas tu w Warszawie wdał się w to, jak mieszka rodzina żydowska na Parysowie?

– Co to ma być? – spytał prawie szeptem jakiś głos z głębi sali.

– *Ce sont des*⁶⁶ flaki z olejem... – rzekł blondyn o twarzy Apollina, trąc swe binokle w rogowej oprawie.

Judym słyszał szyderczy ton i widział złe uśmiechy, ale brnął dalej w swoim podnieceniu:

– Czy nie jest naszym obowiązkiem szerzyć higienę tam, gdzie nie tylko jej nie ma, ale gdzie panują stosunki tak okropne? Któż to ma czynić, jeśli nie my? Życie nasze całe składa się z pasma poświęceń. Wczesną młodość spędzamy w trupiarni, a całość wieku w szpitalu. Praca nasza jest to walka ze śmiercią. Co może się porównać z pracą lekarza? Czy praca na roli, czy w fabryce, czy „zajęcie” urzędnika, kupca, rzemieślnika, nawet żołnierza? Każda myśl tutaj, każdy krok, każdy czyn, musi być zwyciężaniem ślepych i strasznych sił natury. Ze wszech stron,

⁶⁶ *ce sont des* (fr.) – to są. [przypis redakcyjny]

z oczu każdego chorego patrzy w nas zaraza i śmierć. Gdy zbliża się cholera, gdy wszyscy ludzie tracą rozsądek, zamykają w pośpiechu szachrajskie kramy swoje i uciekają, lekarz sam jeden idzie naprzeciwko tej niedoli kraju. Wówczas dopiero widać jak w lustrze, czym my jesteśmy. Wówczas słuchają naszych rad, naszych zleceń, postanowień i rozkazów. Ale gdy mór przemija, plemię chlebożerne wraca do swego zgiełku i urządza się tak, jak z tym silniejszym w gromadzie dogodniej. Rola nasza się kończy. Idziemy między tłum i zgadzamy się z rozsądkiem stada. Zamiast ująć w ręce ster życia, zamiast według praw nieomyślnej nauki wznosić mur odgradzający życie od śmierci, wolimy doskonalić wygodę i ułatwiać życie bogacza, ażeby pospołu z nim dzielić okruchy zbytku. Lekarz dzisiejszy – to lekarz ludzi bogatych.

– Proszę o głos! – rzekł wysoki, chudy staruszek z faworytami białymi jak mleko.

– Proszę o głos! – ostro, z niedbałością rzekł ów blondyn w binoklach, z lekka unosząc się na krzeselku w stronę gospodarza domu.

Przez salę płynął szmer znamionujący głęboką niechęć.

– Medycyna dzisiejsza – ciągnął Judym – jako fakt bierze powód choroby i leczy ją samą, bynajmniej nie usiłując zwalczać przyczyn. Ciągłe mówię o leczeniu nędzarzy...

W sali ktoś półgłęboko się roześmiał. Szmer był coraz wyraźniejszy i niegrzeczny.

– Ja tu nie mówię o nadużyciach ordynarnych⁶⁷, o praktykach przeróżnych lekarzy kolejowych, fabrycznych itd., lecz zawsze o położeniu higieny. Mówię o tym, że gdy człowiek pracujący w fabryce, gdzie po całych dniach płucał sztaby żelaza w kwasie siarczanym, w wodzie i wapnie gaszonym, dostaje zgorzeli płuc i uda się do szpitala, zostanie wykurowany jako tako, to ów człowiek wraca do tegoż zajęcia. Jeżeli pracownik zajęty w cukrowni przy wyrobie superfosfatu przez oblewanie węgla kostnego kwasem siarczanym, gdzie całe wnętrze szopy napełnia się parą kwasu siarkowego i gdzie gazy po spalaniu pikrynianu potasu wdychane wywołują zgorzel płuc – ulegnie tej chorobie, to po wypisaniu go ze szpitala wraca do swojej szopy. W lodowniach browarów... *pleuritis purulenta*⁶⁸...

– To rzecz jakiejś opieki nad wychodzącymi ze szpitala, a bynajmniej nie lekarza... – rzekł gospodarz.

– Lekarza obowiązek – właśnie wykurować. Gdyby zaczął szukać miejsc odpowiednich dla swych pacjentów, byłby może dzielnym filantropem, ale z wszelką pewnością złym lekarzem...

– wołał ktoś inny.

– Zawsze „opieka”, zawsze „filantrop” – bronił się Judym.
– Nie jest moim zamiarem żądać, ażeby lekarz szukał miejsca dla swych uzdrowionych pacjentów. Stan lekarski ma obowiązek, ma nawet prawo zakazać w imieniu umiejętności, ażeby chory

⁶⁷ ordynarny – tu: zwykły, prosty, codzienny. [przypis edytorski]

⁶⁸ *pleuritis purulenta* (łac.) – zapalenie opłucnej z wysiękiem ropnym. [przypis redakcyjny]

wracał do źródła zguby swego zdrowia.

– Dobrze sobie! Znakomita idylla! Co też kolega!... – słychać było ze stron wszystkich.

– To właśnie, coście tu szanowni koledzy swoimi protestami stwierdzili, nazywam lekceważeniem i zgoła pomijaniem przyczyn choroby, kiedy idzie o ludzi biednych. My lekarze mamy wszelką władzę niszczenia suterren, uzdrowotnienia fabryk, mieszkań plugawych, przetrząśnięcia wszelkich krakowskich Kazimierzów⁶⁹, lubelskich dzielnic żydowskich. W naszej to jest moc. Gdybyśmy tylko chcieli korzystać z przyrodzonych praw stanu, musiałyby nam być posłuszna zarówno ciemnota, jak siła pieniędzy...

To rzekłszy Judym złożył zeszyt i usiadł. Nie był to wcale koniec odczytu. Istniała tam jeszcze część trzecia, zawierająca przeróżne liryczne projekty. Do wygłoszenia tego ustępu, oddzielonego w rękopisie trzema gwiazdkami, dr Tomasz nie czuł się na siłach, formalnie tchu nie miał. Miny zgromadzonych, zakłopotanie gospodarza, sama wreszcie atmosfera zebrania wyraźnie znamionowała zbazgranie się prelegenta zupełnie. Lekcja ani była dość silna, żeby rozjątrzyć i wstrząsnąć, ani dość nowa, ażeby czymkolwiek olśnić. Patrzone na Judyma ze spokojem i bez gniewu, a te wejrzenia mówiły: „Widziało się, żeś lew srogi, a tyś tylko *dudy* czyjeś, i to kto wie, czy nie ośle...”.

Gdy się zupełnie uciszyło, wstał z krzesła staruszek

⁶⁹ *krakowski Kazimierz* – dzielnica Krakowa, daw. zamieszkiwana prawie wyłącznie przez ludność żydowską. [przypis redakcyjny]

z faworytami, dr Kalecki, i zaczął wyłuszczać swe zdania sformułowane i pełne życia:

– Kolega Judym – mówił – dał nam rzecz piękną, pochlebnie i wymownie świadczącą o jego uczuciach altruistycznych, żywości imaginacji – i studiach w Paryżu. Miło jest w dzisiejszych czasach, niestety bardzo przesiąkniętych utylitaryzmem, spotkać lekarza z czuciem tak żywym, z sercem tak gorącym i pełnym tkliwości. Toteż ośmielę się złożyć w imieniu zgromadzonych koledze Judymowi szczerzy wyraz wdzięczności za jego pracę...

Po tym zwrocie, który Tomaszowi zdał się być natrząśaniem z jego nędzy, dr Kalecki przystąpił do odczytu ze strony krytycznej i mówił:

– Rzecz poruszona przez kolegę Judyma właściwie składa się z kilku kwestii, a zahacza o niebo i piekło. Z tego wszakże, cośmy słyszeli, dadzą się, jak myślę, wydzielić trzy sprawy główne: *primo* – sprawa czysto naukowa: sprawa higieny żywota klas ubogich, *secundo* – sprawa społeczna, *tertio* – środki zaradcze. Każdy z tych punktów – to góra obrosła dzikim lasem, zavalona odłamami skał, przecięta jarami, gdzie jeszcze więdźmy nocują. A więc – co się tycze⁷⁰ punktu pierwszego. Nie będę wspominał o tym, co tu kolega prelegent nam przedstawił. Są to fakty sumiennie spostrzeżone i barwnie opowiedziane. Fakty, dodam od siebie, bardzo smutne. Co się tycze stosunków francuskich, to, rzecz prosta, kwestię muszę zostawić na uboczu,

⁷⁰ *co się tycze* – dziś popr.: *co się tyczy*. [przypis edytorski]

gdyż jej nie badałem specjalnie. Wiem jednakże z pewnością, iż cele miłosierdzia pochłaniają w Paryżu dziesięć milionów, wyraźnie, dziesięć milionów franków rocznie. Nie jest to sumka mała. Wiadomo również, że istnieją tam całe stowarzyszenia łotrów żebrzących, całe syndykaty utrzymujące baby, które na ulicach symulują porody, rozsyłające mniemanych epileptyków, obłąkanych, wszelkiego rodzaju kaleki – itd. W ogóle nie należy zapominać, kiedy się te sprawy roztrząsa, o wiecznie mądrym zdaniu Herberta Spencera⁷¹: „Wymawiając słowa – biedny człowiek, nie myślimy wcale – zły człowiek”. Nie chcę przez to powiedzieć, że lekceważę takie zjawisko jak Cité de Femme en Culotte...

Przejdźmy do stosunków naszych. Kolega prelegent ubolewał tutaj nad dolą parobków, żydostwa itd. W istocie rzecz się ma i tu, i tam nieświeźnie, ale z naciskiem to muszę sformułować, choćby się kolega Judym miał na mnie gniewać, że to nie są rzeczy lekarza. *Amicus Plato, sed magis amica veritas*⁷² – to darmo. Tak to wygląda, jakby lekarz pogotowia ratunkowego wezwany do dwu szewców, którzy się skłuli nożami, zamiast ich opatrzyć, rozpoczął prelekcję o szkodliwości bójek. Co tu mogą zaradzić lekarze? Oświecać, oświecać ciemny motłoch

⁷¹ *Spencer, Herbert* (1820–1903) – ang. filozof i socjolog pozytywistyczny. [przypis redakcyjny]

⁷² *amicus Plato, sed magis amica veritas* (łac.) – „Wprawdzie Plato jest przyjacielem, lecz większą przyjaciółką prawda”; wyrażenie przypisywane wybitnemu filozofowi gr. Arystotelesowi (IV w. p.n.e.), który będąc uczniem Platona, odrzucił i poddał krytyce jego idealistyczną teorię idei jako pierwowzorów rzeczy. [przypis redakcyjny]

folwarczny i wpływać na jego chlebobdawców – to i wszystko. Ale to się robi, robi się na pewno, jak stwierdzają koledzy praktycy z prowincji. Robi się więcej, niżby sądzić można z daleka, z wysokości takich czy innych paradoksów⁷³. Jak wszędzie, tak i tutaj najlepszą częśćkę obiera sobie, a przynajmniej powinna obierać filantropia, owa siostra miłosierdzia ludzkości. Patrzmy na stan rzeczy. Mamy przed oczyma wzrost ducha miłosierdzia, ofiarności, istnego zapału klas wyższych do spieszenia z pomocą tam, ku tej nizinie, którą dr Judym z taką swadą maluje. Ileż to ofiar spłynęło do sakwy jałmużniczej w ciągu tego roku, ile łez otartych zostało bez żadnego frazesu, w sekrecie nawet przed obrońcami „ludu”. Nie będę nazywał, nie będę wytykał palcem tych spomiędzy kolegów tutaj zebranych, którzy spieszą na każde wezwanie cierpiącej niedoli, którzy czas swój, zdrowie i życie niosą w ofierze, bez myśli o tym, że spełniają jakąś tam misję. Po prostu czynią, co trzeba, co wskazuje obowiązek serca, sumienia... źle mówię, przyzwyczajenia albo wprost – nałogu.

– Brawo! brawo!... – słychać było żywe okrzyki ze wszystkich kątów lokalu.

– A teraz rzućmy jeszcze okiem... Czy w istocie tak źle jest z nami? Oto powstają wystawy higieniczne, towarzystwa przeciwżebracze, urządza się przytułki noclegowe, funduje kąpiele dla ludu, zabawy – a wreszcie towarzystwo higieniczne, nic nie mówiąc o dziełach miłosierdzia dokonywanych w ciszy.

⁷³ *paradoks* – sąd wyrażający myśl sprzeczną (czasem tylko pozornie) z ogólnie uznanymi zasadami. [przypis redakcyjny]

Panowie, nie mamy potrzeby rumienić się wobec zarzutu kolegi dra Judyma, jakoby lekarz dzisiejszy był lekarzem ludzi bogatych. We wszystkich tych sprawach, na które patrzymy, stan lekarski nie tylko dawał inicjatywę, ale może z dumą o sobie mówić: *magna pars fui*⁷⁴. Kolega Judym jest młodym człowiekiem. Serce podyktowało mu słowa goryczy, bo samo, widać, wiele cierpień zniosło. Dziś on się może jeszcze do zawziętości, do stronniczego uprzedzenia względem medyków warszawskich nie przyzna, ale gdy mu szron włosy ubieli, na pewno potwierdzi moje słowa, że wydał dziś sąd zły i krzywdzący. My mu to wszystko już dziś szczerze i zupełnie z serca odpuszczamy...

Judym uczuł w sobie ni z tego, ni z owego coś w rodzaju skruchy. Nawet w myśli nie powstało mu nigdy przypuszczenie, że to, co mówił o rzeczach higieny, można mu będzie z serca odpuścić. Zanim jednak zdołał zorientować się w gąszczu nowych, a tak niezwykłych uczuć, wstał doktor Płowicz, który był jednocześnie z drem Kaleckim o głos prosił, i ostrym, donośnym tonem rzekł, co następuje:

– Szanowny kolega Kalecki sformułował wszystko, co o materiałach przez prelegenta poruszonych rzec by można. Według mnie kolega Kalecki w jednym tylko miejscu użył barwy zbyt nikłej na odparcie zarzutów doktora Judyma. Mówię o tym punkcie, gdzie autor odczytu narzuca lekarzowi dzisiejszemu

⁷⁴ *magna pars fui* (łac.) – brałem wielki udział (zwrot przysłowiowy). [przypis redakcyjny]

obowiązek ulepszania stosunków społecznych. Jest to pretensja dzika, a przemienia się w napaść formalną, gdy surowy krytyk twierdzi, że praca lekarza polega na udoskonalaniu życia bogaczy, ażeby pospołu z nimi dzielić się okruchami zbytku. Ja tu wiele rzeczy pomnę zupełnym milczeniem. Nie będę się rozwodził nad tym, że rdzeniem życiowym, istotą spraw ludzkich niezwalczoną jest dążność każdego człowieka do kultury, wyższości, życia w pięknym mieszkaniu, nawet, *horribile dictu*⁷⁵! dążność do bogactwa. Nie wiem, dlaczego lekarz miałby być wykluczony od uczestnictwa w podziale tych zresztą marnych bogactw tutejszego padołu. Chyba dlatego, że, jak sam przyznaje nasz srogi zoil⁷⁶, harujemy ze wszystkich zawodowców najciężej i w najpodlejszych warunkach. Ale, jak zaznaczyłem, nie będę się nad tym rozwodził, bo, co tu w bawelnę obwijać, nie ma nad czym. Gdy doktor Judym zawiesi na swych drzwiach tabliczkę z godzinami przyjęć, gdy będzie miał do okrycia i wykarmienia nie tylko swe studenckie ciało, ale także osoby drogiej kobiety i dziecka, wówczas da Bóg doczekać, może usłyszymy od niego mniej surowe słowo na temat przywar stanu lekarskiego.

Chcę tu podnieść rzecz inną, mianowicie zwrócić uwagę kolegi Judyma na tę okoliczność, że jego myśli i wzloty

⁷⁵ *horribile dictu* (łac.) – strach się przyznać. [przypis redakcyjny]

⁷⁶ *zoil* – złośliwy, małostkowy krytyk; nazwa pochodzi od imienia greckiego mówcy Zoilosa (II w. p.n.e.), autora zjadliwych krytyk skierowanych przeciwko Homerowi. [przypis redakcyjny]

altruistyczne nie mają silnego gruntu. Lekarze nie trzymają wcale w rękę władzy, jaką im kolega przypisuje. Gdyby najszczerzej i najusilniej chcieli zmusić szynkarza z Château-Rouge do zastosowania tak zwanych wymagań higieny, to im się to w żadnym razie nie uda. Świat jest to chytry przemysłowiec, który nie myśli wcale pieniędzy zebranych wydawać w tym celu, ażeby biedny pracowniczek mógł sobie lepiej a wygodniej przepędzać życie. Dla sprawdzenia, że tak jest, trzeba zstąpić z wyżyny na padół. Kazania, choćby i bardzo piękne, nic tu nie poradzą.

To powiedziawszy doktor Płowicz usiadł. Nastąpiło milczenie trwające czas pewien, milczenie kłopotliwe i przykre.

– Chciałem dorzucić parę wyrazów... – rzekł Tomasz głosem wątlym, chwiejnie dźwigając się ze swego krzeselka.

– Prosimy... – szepnął ktoś z głębi.

– Otóż, otóż... nie myślałem, że mój wywód, to jest... moje przedstawienie rzeczy sprowadzi tak niespodziewane opinie. Nie miałem myśli obrażania stanu lekarskiego, owszem, pragnąłem go uczcić za pomocą tego, com mniemał o jego roli w społeczeństwie ludzkim. Zdaje mi się to być dziwnym, że szanowni koledzy znaleźli w tym właśnie kamień obrazy. Przecie ja nie wymagałem od lekarzy ani filantropii, broń Boże! ani tego, żeby nie byli ludźmi bogatymi. Czyż ja nie mówiłem? Mówiłem i powtarzam, że lekarz dzisiejszy jest sługą, lekarzem-sługą ludzi bogatych. Czy sam jest bogaczem, to rzecz drugorzędna. Ponieważ zaś moja myśl zrozumianą nie została,

więc ją rozwijam w inny sposób. Lekarz dzisiejszy nie chce nawet zrozumieć, a raczej usiłuje nie zrozumieć tej prawdy, że sprowadzając do zera posłannictwo swoje współdziała z chytrym, jak mówi dr Płowicz, światem-przemysłowcem. Nie należy służyć „mamonie”. Mieć ją można – mnie to ani grzeje, ani ziębi. A teraz co do mieszkań, przytułków i tych pocziwych kąpeli... Sądzę, że szanowny kolega Kalecki źle zapatruje się na znaczenie tych instytucji. Fundowanie kąpeli dla ludu przez osoby postronne, przez filantropów, uważam za dążność chybioną...

– Paradne! – zawołał ktoś na sali.

– ...gdyż odwraca naszą uwagę od tego, czym obowiązkiem jest kąpiel dla swoich pracowników urządzić. Jeśli dyrektor kopalni węgla wychodzi z podziemia, to ma do dyspozycji wannę urządzoną przez właściciela kopalni. Cóż byśmy sądzili, gdyby dla takiego dyrektora fundował wannę kolega doktor Płowicz z własnych, krwawo zapracowanych, a jednak marnych funduszków? Tymczasem gdy chodzi o jakiegoś człeczynę poniżej sztygara stojącego na drabinie socjalnej, nic nie mamy przeciwko temu, ażeby doktor Płowicz z własnego majątku fundował mu sposób ablucji⁷⁷ zabrudzonego siedliska duszy. Oto gdzie leży kwestia. Utyskujemy, łamiemy ręce nad brudami miast, nad niechlujstwem ludu, my, lekarze, a gdy nastęrcza się możliwość od jednego zamachu skasować niechlujstwo...

– Ciekawa rzecz, gdzie się ta możliwość nastęrcza?

⁷⁷ *ablucja* (z łac.) – obmycie. [przypis redakcyjny]

–...żądając otwarcia łaźni przez tego, w którym interesie potem i brudem okryli się ludzie – my na miasto, do filantropa. To samo...

– Ale kto ma nastawać, kto? Jaki organ, jakim sposobem?

– My, lekarze! My, sól ziemi, my, rozum, my, ręka kojąca wszelką boleść...

– Jakim sposobem, jakim cudem?

– Zmówmy się między sobą, naradźmy, wydajmy uchwałę i walczmy z głupotą społeczeństwa, które nie widzi, co to jest ulica Krochmalna albo Kazimierz krakowski...

– Kpisz pan czy o drogę pytasz!

– Bynajmniej! Jeżeli przychodzą do mnie po radę, to niech jej słuchają! W przeciwnym razie nie lecę, nie lecę wcale! Jeśli nie niszcę źródeł śmierci...

Mówiąc to wszystko Judym tracił stopniowo a szybko poczucie pewności siebie. Formalne, kategoryczne a śmiałe zaprzeczenia wydarły mu z głowy najsilniejsze argumenty. Chciał mówić jeszcze o mnóstwie kwestii, ale podobnie jak przedtem – stracił odwagę. W tej samej chwili, gdy on nie wiedział, co właśnie dalej mówić, nastąpiło w sali zupełne milczenie. W przeciwległym kącie grono zebrane przy stoliku zaczęło głośno rozmawiać o czym innym. Gospodarz uniósł się ze swego miejsca i oczyma dał znać żonie, że czas prosić do kolacji. Większość zebranych wstawała...

Judym usiadł na swym miejscu spocony, z uczuciem, jakby miał głowę pełną suchego piasku. Widział, że goście przechodzą

grupami do sali jadalnej... Nie był pewny, czy ma wyjść, czy zostać. Gdy się wahał, usłyszał obok siebie głos dra Czernisza:

– Kolega będzie łaskaw... Proszę...

Wtedy wstał ze swego miejsca i wraz z innymi przeszedł do pokoju stołowego. Przy kolacji, która dla niego była prawdziwą męczarnią, miał w sąsiedztwie doktorową Czerniszową, która zadawała mu jakieś uprzejme pytania, zmuszała do wypowiedzania bezmyślnych zdań o literaturze, malarstwie, nawet o jakimś bilu angielskim⁷⁸... Chwilami czuł dziłą wściekłość; miał formalny impuls, żeby powstać i zdzielić tę piękną kobietę pięścią między oczy. Jak na urągowisko nie tylko trzymał, ale ze wszystkich stron widział w umyśle racje swoje, głębokie fikcje obmyślane w samotności. Nikt nań uwagi nie zwracał, więc mógł w przerwach między pytaniami gospodyni ćwiczyc do woli swój *esprit d'escalier*⁷⁹. Kiedy niekiedy tylko zatrzymywało się na nim w przelocie czyjeś spojrzenie i wówczas widział w nim drwinę, której bezlitosne oblicze zakryte było kapturem towarzyskiej przyzwoitości.

Późno w nocy skończyła się kolacja. Część zgromadzenia wróciła do salonu. Inni z cygarami wędrowali do gabinetu, niektórzy zaś po angielsku wymknęli się za drzwi. Do szeregu ostatnich należał Judym. W bramie kamienicy, która była od

⁷⁸ *bil angielski* (z ang. *bill of rights*) – ustawa przyjęta przez parlament angielski i zatwierdzona przez króla. [przypis redakcyjny]

⁷⁹ *esprit d'escalier* (fr.) – odpowiedź przychodząca poniewczasie (dosł. „na schodach”); spóźniony dowcip. [przypis redakcyjny]

dawna zamknięta, kilku z uczestników zebrania „wypukiwało” stróża stękającego przed opuszczeniem izdebki. Grono to milczało i gdy się drzwi otwały, pożegnano Judyma szybkim „dobranoc” i uchyleniem kapeluszków. Został i szedł w tę samą stronę tylko jakiś otyły, niski, wiekowy eskulap, którego Judym zauważył na zebraniu. Była to figura rozlana, o żydowskich rysach i ruchach.

– Kolega w którą stronę? – spytał Judym.

– Ja? W stronę Krochmalnej... A kolega?

– Na Długą.

– No to idziemy w jednym kierunku.

– Niekoniecznie.

– Owszem. Dlaczego? Ja mogę zboczyć. Przyznam się zresztą koledze, że milej mi będzie iść razem. O tej godzinie... po prostu strach jest iść piechotą. W naszej okolicy niech Bóg zachowa!

– A, jeżeli tak.

Judym szedł wielkimi krokami. Grubas biegł przy nim, sapiąc i wydychając dym z cygara, którego niedopałek żarzył się w samych niemal jego wąsach.

Gdy już oddalili się znacznie od mieszkania doktorostwa Czerniszów, dr Chmielnicki rzekł:

– Szczerze dziś współczułem koledze...

Judym miał inne wyobrażenie o tym współczuciu, zauważył był bowiem przypadkowo tłuściocha, jak prześcigał innych we wzgardliwym nadymaniu ust i w obfitości min ironicznych.

– Dlaczegoż to kolega miał mi współczuć?...

– Jak to dlaczego? Czy kolega może dziś czuć przesyt z nadmiaru krytyki życzliwej? U nas, niestety, tak zawsze. Jeżeli kto wyrasta nad głowy tłumu, zaraz go...

– Szanowny kolego, ja nie marzyłem o wyrastaniu nad jakiegokolwiek głowy.

– Ja wiem, ja rozumiem! Mówię nie o zamiarze, lecz o fakcie...

– Żałuję teraz, że czytałem moją elukubrację⁸⁰...

– Ależ dlaczego?

– Dlatego, że ten wyskok sprowadził między innymi takie oto drwiny szanownego kolegi.

– Kolega się mylisz! Na honor... Mnie imponują ludzie odważni. A co znaczy być wyśmiewanym, być zadrażnionym tym wiecznym śmiechem, jak chory indyk przez stado, to ja wiem najlepiej.

– Jak to?

– Proszę kolegi, od pierwszej klasy przez całe gimnazjum, przez cały uniwersytet, przez całe życie jestem śmieszny. Dlaczego? Ja nie wiem. Oczywiście przede wszystkim dlatego, że mam przyjemność być z Żydów, a po wtóre dlatego, że się nazywam Chmielnicki. Przodkowie moi, nawiasem mówiąc wcale nie lichwiarze ani nie oszuści, pochodzili z miasteczka Chmielnika, więc ich zwano Chmielnickimi. Gdyby byli wiedzieli, ile z racji tego nazwiska wycierpi ich potomek, wcale niegłupi doktor, byliby wybrali dla

⁸⁰ *elukubracja* – mozolnie wypracowany utwór, ale bez talentu. [przypis redakcyjny]

siebie i dla mnie nie tyle kozackie nazwisko. Mogliby się byli przecież nazwać Staszowskimi, Stopnickimi, Oleśnickimi, Kurozwięckimi, Pińczowskimi, Buskimi. Byłoby to im, a i mnie najzupełniej obojętne. Ze mnie drwili nawet profesorowie. Pamiętam, w Dorpacie nasz nieboszczyk prosektor⁸¹ pyta mnie pewnego razu przy całym audytorium:

– Panie Chmielnicki, czy aby wierzysz w nieśmiertelność duszy?

Pytanie było żartobliwe, ale kategoryczne. Odpowiedziałem:

– Panie profesorze, tak jest, ja wierzę.

– A gdzież ona jest ta pańska dusza?

– Jak to gdzie? Jest w ciele człowieka.

– W całym ciele czy w jakiej części siedzi pańska dusza, panie Chmielnicki?

– W całym ciele siedzi, profesorze.

– A jeżeli człowiekowi urzynają nogę, cóż się dzieje z duszą?

Czy urzynają również kawałek duszy?

Pomyślałem chwilę i mówię:

– Nie. Wtedy zapewne dusza podnosi się cokolwiek wyżej.

Ten dialog szeroko i daleko uczynił mnie sławnym. Gdybym dziś dał światu nieomylny sposób leczenia gruźlicy, zawsze pamiętano by, że to ten „Czerkies” Chmielnicki, co ma nieśmiertelną duszę, która w miarę okoliczności podnosi się wyżej.

– Proszę kolegi, czyliż jest choć jeden człowiek, który by

⁸¹ *prosektor* – kierownik prosektorium. [przypis redakcyjny]

nie dźwigał na plecach takiego kosza śmieszności? My sami każdemu z przechodzących wrzucamy jakąś bryłkę ciężaru. To samo czynią z nami bliźni nasi. Nic darmo...

– Nie, nie! Co innego jest to, o czym kolega mówisz, a co innego specjalne brzemie moje. To nie kosz, który można zrzucić, lecz garb. Niosę zawsze taki, jakiego ciężar poznałeś pan dzisiaj wieczora.

– Ależ to co innego.

– Tak, co innego, bo to było, daruje kolega, zasłużone, cokolwiek zasłużone, moje zaś jest to śmieszność, którą się niesie bez własnej winy.

– Więc ja dziś zasłużyłem...

– No, nie! Ja się mało znam. Ale, proszę kolegi, jak można... Takie ostre wystąpienie przeciwko uznanym prawdom, a nawet, powiem sumiennie, przeciwko... oczywistości. Medycyna to jest medycyna, to jest fach. Ja się nauczyłem, wydałem pieniądze, włożyłem ogrom pracy, ja umiem, mam patent – więc lecę. Dlaczego medycyna ma być związana z filantropią, a inżynieria nie, prawo nie, filologia nie!

– Nic nie chcę słyszeć o filantropii!

– No, to z tymi obowiązkami społecznymi. Dlaczego nie ma obowiązków społecznych rzeźnik, stolarz, poeta, tylko lekarz?

– Wie pan co, nie mówmy o tym.

– Możemy nie mówić, jeżeli kolega nie życzy sobie mówić o tym ze mną. Ale mnie kolegi żal.

– Ech, jeszcze stoję na nogach.

– Kolega wspomniałeś o tych biednych szajgkach⁸² z Parysowa... Ach, Boże! To była krótka wzmianka, ale w niej malowało się coś takiego... Dzisiaj już mało kto mówi u nas o Żydach jak o ludziach. Jeżeli się o nich mówi, to po to tylko, żeby ich przyrównać do „robactwa”, które oblaźło i żre „ludzi”. Kiedy czytam dzisiejsze pisma, pisma, które jawnie wzywają do nienawiści, do wygładzania, wyrzucania, tępienia Żydów, dzisiaj, i to w imię zasad Jezusa Chrystusa...

– Proszę kolegi...

– Proszę kolegi, ja każde niedzielne wydanie pism... tych pism antysemitycznych odchlorowuję...

– Po cóż cię wzruszać byle czym!

– Byle czym!

– No tak. Pisma takie wydają szuje, nędzne łajdaki, które na szerzeniu nienawiści między ludźmi, na niszczeniu solidarności robią majątki. Z tego zatrutego posiewu budują sobie kamienice. Ale czy wy sami dużo zrobiliście dla podniesienia żydowskiej masy?

– Czy wiele zrobiliśmy! Życie w to kładziemy. Pracujemy dzień i noc.

– Więc dlaczegóż, kolego, mówisz, że nie mam racji wzywając medyków do roli, jaka im się należy?

– Bo tamto robimy dla Żydów, my, Żydzi. Tu gra rolę miłość.

– Właśnie, właśnie. Miłość! Mało też zrobiliście nadymani przez waszą „miłość”. Ja chciałem udowodnić lekarzom, co

⁸² *szajgac* – nieżydowski (chrześcijański) chłopiec. [przypis edytorski]

powinni czynić pod naciskiem nie miłości bynajmniej, lecz wskazań zimnego rozumu.

Byli na Długiej, przed bramą domu, w którym mieszkał dr Tomasz. Na odgłos dzwonka dr Chmielnicki zorientował się dopiero, że gawędząc przycwałował aż tak daleko. Właśnie przejeżdżała dorożka, więc ją zatrzymał i gramoląc się na stopień perorował:

– Kolega się mylisz! Medycyna – to fach.

Zlął raptem znowu, potknął się w rynsztoku, chwycił Judyma za klapę paltota i mówił mu w sekrecie: Medycyna to interes jak każdy inny. Nie zapomnij kolega o tym...

– Dobrze, dobrze. Nie mam możliwości o tym zapomnieć, nie mam nawet środka. Ale gdyby mi danym było przeżyć na tym świecie pięćdziesiąt lat jeszcze, ujrzałbym wszystko to, o czym dziś mówiłem, jako fakty zrealizowane. Medycyna będzie wykreślała drogi życia masom ludzkim, podniesie je i świat odrodzi.

– Mrzonki...

– Tak samo z pewnością mówili w zeszłym wieku ci „medycy”, co to z narzędziami swego „fachu” objeżdżali dwory pańskie pokornie wypytujac się, czy kto nie jest słaby, gdy im kto twierdził, że stan lekarski będzie zajmował to ogromne stanowisko, jakie już ma dzisiaj. Kolega się żalisz na szyderstwa, które cię spotykają. Pomyśl, co by cię czekało, ciebie, Żydalekarza, sto lat temu?...

Doktor Chmielnicki wwalił się w dorożkę i krzyknął na

woźnicę pragnąc zagłuszyć wzmiankę o żydostwie:

– Krochmalna!...

Smutek

Piątego października doktor Judym wyszedł na spacer w Aleje Ujazdowskie. Był to dzień piękny. Słońce rozlewało ciepło łagodne i blask jeszcze jasny, ale już odchodzący za dziewiątą górę, za dziesiątą rzekę. Szereg drzew w Alei, których widok tak dużo wspomnień nasuwał, okrył się już rdzą czerniejącą. W dali, pomiędzy koron kulistych jeszcze, wysuwały się gałęzie bez liści jak smutny jakiś drogowskaz. Ze szczytów sączyły się barwy trupie, zgniłe, czerwonorude i coraz niżej wsiąkało w ciemną zieloność jasnożółte zniszczenie. Tu liść jeszcze żywy otoczył płomień śmierci jakby obwódka dziwnej żałoby, gdzie indziej strawił go do rdzenia, pozostawiając tylko prążki zielone. Błękit niebieski rozciągniony⁸³ nad tą wąską smugą przestrzeni był już nikły, zasnuty przedziwem chmurek zwianych i płynących wiotkimi pasmami w dal niedościgłą dla oka.

Doktor minął bramę i wolno schodził w głąb parku. Ogromne liście klonów płynęły z drzew i migały przed oczyma nad ziemią to tu, to tam, jak złote ptaki. Liście orzechów włoskich i drzew octowych⁸⁴ plamiły zieloność trawników niby krew

⁸³ rozciągniony – dziś popr.: rozciągnięty. [przypis edytorski]

⁸⁴ drzewo octowe – także: sumak odurzający, sumak octowiec (*Rhus typhina*); gatunek rośliny z pochodzącej z Ameryki Płn., mający w Polsce status antropofita zadomowionego i uprawiany dla celów ozdobnych, roślina miododajna; krzew a. niskopienne drzewo o parasolowatej koronie i liściach nieparzystopierzastych (mierzących do 0,5 m), wybarwiających się jesienią na kolor szkarłatny,

rozlana i skrzepła. Na dnie pustego parku, w cieniu sokor królewskich niedostępnym dla słońca, spoczywał i wyciągał się mrok chłodny. Daleko, w przecięciach szpalerowych, oświetlone czuby żółtych kasztanów buchały płomieniami jak jezory żywego ognia. Wszędzie stał rozlany w chłodnym powietrzu miły, ostry zapach liści zwiędłych.

Unikając miejsc ludnych Judym szedł dawną aleją na koniec parku. Rosły tam najściglejsze, prawdziwie niebotyczne topole, szeleszczące jeszcze twardymi liśćmi; cicho szumiały srebrne, długowłose wierzby, co patrzą w obumarłe wody kanałów – i świerki jak posępne mnichy w czarnych habitach, zamykające odległe widoki, marzyły w samotności. Powiew śmiertelny obszedł już wokoło te drzewa i na straży ich postawił wylekłą ciszę.

Dalekie głębie wydawały kiedy niekiedy szmer prędko gasnący, który i człowieka zmuszał do cichego westchnienia.

Gdy w pewnej chwili rozległ się gwar i śmiech dziecięcy, wydał się czymś dziwnym i rażącym wśród surowego szeptu, który mówi o śmierci.

Na gładkie łączki, niby jeziora śniące między kępami zarośli, zstępowały smugi światła prawie białego i ostrymi rysami przerzywały chłodne murawy. Tuż obok drogi zasłanej

pomarańczowy i żółty; również kwiatostany w kształcie stożkowatych kolb przybierają czerwobrunatną barwę; octowiec wytwarza sok mleczny, który wydziela się po przecięciu gałęzi i po pewnym czasie twardnieje i czernieje; owoce, drobne, zebrane w zbite, owocostany barwy amarantowej, posiadają b. kwaśny smak, od którego pochodzi nazwa rośliny. [przypis edytorski]

liśćmi tały się baseny wody nieruchomej, ślepej i głuchej, która przyjmując w siebie poszarpane plamy firmamentu dawała jakieś kłamliwe ich odbicie, brzask srebrzący się a niepochwytny. Rysowały się tam czarne pnie i gałęzie olch nachylonych. Każdy ptak siadający dla wypoczynku strącał z nich mnóstwo liści. Chłodne oddechy jesienne niosły te zwłoki skurczone i osadzały na zawsze w cichej powierzchni. Zielona woda płaszczyzn bardziej otwartych pieściła w łonie swym gałęzie kasztanów z liśćmi tak żółtymi, że się wydawało, jakoby płynna jasna farba sączyła się z nich i w głębi odmiennej tonęła. Liście te były zwieszane, przejrzyste, delikatne, a rzucały na środek wody ruchome odblaski, które z jej barwą zlewały się w podobiznę przepysznie lśniącego brązu. W jednym miejscu słońce, znalazłszy wśród przeredzonych liści obszerną drogę, rzuciło się w głąb wody jak wytrysk roztopionego złota o barwie zbyt trudnej dla źrenicy. Między drzewami co chwila migały błyszczące pudła powozów pędzących na gumowych kołach. Głuchły turkot ich przerywający milczenie był głosem, który z zinnem przyrody harmonizował. To był wyraz bogactwa, czegoś tak obojętnego jak ona sama. W umyśle budziły się skojarzenia, które milczą, chociaż istnieją, podobnie jak dźwięk w nateżonych strunach.

Doktor Tomasz w powszedniej trosce życiowej nie roztrząsał ich ani kształtował, ale one z dnia na dzień jak miriady niewidzialnych mikrobów asymilowały się z umysłowością.

Teraz spajały się w silne sylogizmy⁸⁵ i od zjawiska przechodziły do zjawiska, sięgając do głębin treści. Były to myśli parweniusza, który trafem stanął u drzwi pałacu kultury. Tkwiła w nich przede wszystkim skryta pod maską miłości ubogich drapieżna zazdrość indywidualna względem cudzego bogactwa. Od wieków płonąła jak piekielny ogień w sercu przodków, była najsilniejszym, choć najskrytym ich uczuciem. W duszy ostatniego potomka nie zionęła już z niej śmiertelna, ślepa zemsta, tylko wysnuwał się głęboki, rozległy żal. Niegdyś, za czasów dzieciństwa i młodości, wytryskiwała z tego samego źródła potężna energia człowieka z ludu, który cwałem biec musi tam, gdzie wszyscy inni „dobrze urodzeni” równo, systematycznie i bez trudu idą. Później wyłamywały się z tej zazdrości złudy oryginalne, hipotezy, plany i gwałtowne marzenia, które nieraz przeradzają się w namiętności i łamią siłę nawet pieniędzy. Teraz, w dniu spaceru, wszystko pierwszy raz owiał jak gdyby chłód jesienny. Judym uczuł w sobie nie dającą się określić jasnymi słowy agonię tych właśnie dawnych marzeń. Uczucie jego zносиło proces podobny do lotu strzały rzuconej z tęgiej cięciwy i pędzącej jeszcze w przestrzeń, kiedy na wielkiej wysokości zwalnia biegu, uczuwa nagle swój ciężar, który ją wkrótce, choć nie wiadomo kiedy, odwróci grotem na dół i porwie ku ziemi. W którąkolwiek stronę rzuciła się dusza młodego lekarza, wszędzie uderzała w jakąś siłę zdradziecką podobnie

⁸⁵ *sylogizm* – wnioskowanie pośrednie polegające na wyprowadzeniu nowego sądu, zw. wnioskiem, z dwóch innych sądów, zw. przesłankami. [przypis redakcyjny]

jak pływak, z męską mocą wyrzucający ramiona wśród wodnej przestrzeni, zajęty zwalczaniem tylko jej słabego oporu, gdy się z nagłą uderzy pierściami o pal nieznany. Judym uczuł pierwszy raz w życiu, że pal mocniejszy jest niż piersi ludzkie. I pierwszy raz zastanowił się nad tym, że można pływać tylko po wiadomej, przez wszystkich sprawdzonej toni. Z cichego szelestu liści płynęło do jego serca rozumienie, że się na świecie nie jest niczym osobliwym, że się będzie jednym z wielkiego szeregu. Był to jakby bezwiedny rachunek z samym sobą, zbieranie do kupy rzeczy już zdobytych dla sporządzenia skrzętnego ich rejestru. Wypadało z tych obliczeń, że to, co już zostało zdobyte, to jest los bardzo wielki. Ale zarazem nie ginął jeszcze z oczu przestwór dawny, owszem, roztwierał się daleki, nieobeszły... To, co chce uczynić, co mógłby, za co życie swe gotów jest położyć człowiek nowoczesny, doktor Judym widział w głębi swego serca. I czuł, że od tych prac musi cofnąć ręce.

Wszystko, czym dusza jego żywiła się, tak samo jak ciało chlebem, w czyn się zamienić nie mogło, musiało pozostać sobą, tym samym, marzeniem. Ze wszystkich tych zazdrości i pragnień ofiarnego działania na dużym polu, z żarłocznych egoizmów, które się przeistoczyły w czucia nadindywidualne, wolno teraz idących drzemać w przymusową bezsilność, sączył się smutek jak palące krople trucizny. Napojone nim serce obejmowało świat, ludzi i rzeczy jakby w minucie pożegnania.

Smutek, smutek...

Rozkuwał marzenia z kajdan myśli i przenikał duszę na

wskroś, jak noc przenika wodę. Zostawał z człowiekiem sam na sam niby ulotny a niewątpliwy cień jego postaci. W którąkolwiek stronę, do jakiej rzeczy wzrok było obrócić, wił się po ziemi niedocieczony a wszędzie obecny.

Doktor Judym szedł pustym szpalerem, z głową zwieszoną, z rękami w kieszeniach paltota. Czasami potęrał nogą kasztan świeżo wyłusknięty, błyszczący wśród suchych liści, albo świstał przez zęby aryjkę gdzieś niegdyś słyszana i licho wie dlaczego trzymającą się pamięci. Stał u końca alei nad wodą i chciał przejść na drugą stronę szosy, ażeby skierować się ku pałacowi, a potem ku wyjściu. Karety jedna za drugą pędzące wstrzymały go na miejscu. Leciała jedna, tuż za nią druga, trzecia... Judym ścisnął zęby i zmrużonym okiem przeprowadzał te pojazdy. Do melodii jego aryjki przyczepiło się słowo:

– Powozy, powozy, powozy...

Trzeba było jeszcze stać na miejscu, gdyż z oddali pędził ostrym kłusem czwarty, lśniący wolancik.

Doktor wsparł się na niskiej barierze i ociężałym wzrokiem spotykał jadące osoby. Nagle doznał takiego wrażenia, jakby go ze wszech stron otoczyło promienne światło wiosny i zapach róż. W powozie siedziały trzy panienki, z którymi swego czasu zetknął się w Paryżu i jeździł do Wersalu. Starsza z nich, panna Natalia, odwróciła głowę i poznała doktora. Gdy nieśmiałym ruchem niósł rękę do kapelusza, skinęła mu głową i rzekła coś do towarzyszek. Wówczas odwróciła się panna Joanna i Wanda zajmująca przednią ławeczkę. Doktor zobaczył tylko

twarz i uśmiech pierwszej, gdyż konie porwały wolant i uniosły go między drzewa. Uśmiech ten snuł się przez mgnienie oka w jego źrenicach jak błysk światła. Potem z wolna rozwiął się w nicość.

Promienie słoneczne gasły na wodzie i zamierały w głębinie liści, jakby ustępując przed ostrym chłodem, który się z wody i z ziemi dźwigał. Sennie i z posłuszeństwem, niby na rozkaz tych martwych fal niewidocznych, płynęły żółte liście i kołysały się na powietrzu. Zdawało się, że wybierają dla siebie mogiły zstępując z ciemnych schodów. Judym szedł w swoją drogę ze spuszczoneymi powiekami, zatopiony w marzeniach.

Praktyka

Proroctwo doktora Płowicza co do dalszych losów Judymowych spełniło się o tyle, że istotnie tablice z wyszczególnieniem godzin przyjęcia umocowane zostały nie tylko na drzwiach mieszkania doktora Tomasza, ale także u wejścia do sieni kamienicy, w której zamieszkał. Szyldy te opiewały, że doktor przyjmuje w godzinach popołudniowych, między piątą a siódmą. Całe ranki spędzał w szpitalu na oddziale chirurgicznym, gdzie pełnił obowiązki asystenta. Stołował się, jak za czasów studenckich, na mieście, a od godziny piątej, stosownie do wskazań spiżowymi literami wrytych na tablicach, siedział w „gabiniecie” aż do siódmej. Nie pozwalał sobie ani najdrobniejszego przekroczenia godziny piątej, tym mniej wydalania się przed siódmą. Już w chwili wynajęcia lokalu zdecydował, że trzymać się będzie tego przepisu jak najściślej, toteż wykonywał go ze skrupulatnością nieubłaganą, odrzucając wszelkie impulsy i mamidła przez wzgląd na kształcenie w sobie charakteru, a osobliwie wytrwałości. Prawda, że w ciągu miesiąca września, października, listopada, grudnia, stycznia i lutego nie zjawił się w tym mieszkaniu ani jeden pacjent, ani jeden „kulawy pies niosący w zębach rubla”, jednak nie upoważniało to wcale do zrywania tablic, a tym mniej do jakichkolwiek przerw i uchybień w kształceniu woli. Było i jest rzeczą wiadomą, że początki praktyki... itd. Toteż doktor

Tomasz czekał niezachwianie.

Lokal składał się jak gdyby z trzech pokoi. Największy z nich (właśnie „gabinet”) oddzielony był sienią od znacznie szczuplejszego, który stanowił „poczekalnię”. Zarówno sieni, jak poczekalnia przepołowione były forsztowaniem, pierwsza na sieni i pseudokuchnię, druga na poczekalnię właściwą i, jeżeli godzi się tak go nazywać, pokój sypialny. Cały apartament mieścił się na dole, od frontu, co zaopatrywało go wprawdzie w turkot ulicy Długiej oraz w wilgoć, ale za to pozbawiało światła dziennego. Co się tyczy umeblowania, to doktor Judym żywił i wprowadzał w czyn mniemanie radykalne: „Po co – myślał – mam meblować mieszkanie, *cui bono*⁸⁶? Czy mój pacjent zyska co na tym? Czy może ja za pomocą kanap i obrazów zyskam pacjentów? Bynajmniej!”

Co postanowił, to wykonał, a raczej nie wykonał w tym mieszkaniu nic prawie. W „gabiniecie” stał stolik przykryty bibułą, na nim kałamarz, pióro i papier do pisania recept. Obok stolika czekały cztery drewniane stołki. Przy ścianie nudziła się stara sofa obita czymś wzorzystym.

W „poczekalni” mogło się rozsiąść wygodnie co najmniej pięciu pacjentów. Była tam kanapa, dwa fotele, parę stołków, „Tygodnik Ilustrowany”, pojedyncze numery różowego czasopisma „Głos” i jakiś impresjonistyczny rysunek w ramkach na ścianie. Wszystkie te meble, z wyjątkiem naturalnie „Tygodnika”, „Głosu” i rysunku, kupione zostały za gotówkę

⁸⁶ *cui bono* (łac.) – w imię czyjej korzyści? po co? [przypis redakcyjny]

na ulicy Bagno w pewnym bardzo renomowanym składzie bardzo „hrabskich” mebli. Podłogi zostały świeżo pomalowane olejną farbą, w przedpokoju umieszczono lustro (wszystko ku wygodzie i niezbędnej potrzebie pacjentów). Co prawda lustro miało właściwości szczególne. Pacjent najbardziej trzeźwo usposobiony mógł dostać pomieszania zmysłów ujrawszy w tej tafli szklanej swe oblicze... Nos ukazywał się tam zawsze rozdęty jak kolba dubeltówki, jedno oko w czole, a drugie tuż przy prawej dziurce nosa, usta literalnie od ucha do ucha i nad podziw imitujące buzię nosorożca. Obowiązki gospodyni mieszkania, służącej a zarazem portierki, która by na pierwszy odgłos dzwonka otwierała drzwi pacjentom, przyjęła niejaka pani Walentowa, małżonka wędrownego bednarza. Mieszkała w suterenie tego samego domu, a tuż pod „gabinetem” doktora Judyma, co w znacznej mierze ułatwiało komunikowanie się za pośrednictwem walenia obcasem w ziemię. Pani Walentowa było to babsko stare, grube, skręcone przez rozmaite suterenowe łamania, niewątpliwie żłapiące *monopol* w dużej ilości, aczkolwiek w sekrecie – jednym słowem *grzmot* warszawski.

Jako wyręczycielka *mamy* spełniała czynności mniej więcej piętnastoletnia córka, dosyć ładne dziewczątko, czekające tylko odpowiedniego wieku, ażeby wyjść na ulicę z ciemnicy suterenowej.

Te białogłowy zagospodarowały się w mieszkaniu doktora Tomasza z taką wszechwładzą, że mowy być nie mogło ani o ukróceniu ich praw, ani tym mniej o jakiejś zmianie trybu

postępowania. Wyrzec się ich usług nie było możliwości, gdyż zaczynały obydwie ryczeć jednym straszny bekim, wzywając na świadectwo głód, chłód, nędzę, bóle, łamania... Procesować się o wszelkie rzeczy ginące nie wypadało, gdyż zaklinały się z miejsca na tyle i takich sakramentów, że chyba człowiek wyzuty ze wszelkiej delikatności mógłby je podejrzewać o krzywoprzysięstwo. Co się działo ze świecami, z naftą, węglem kamiennym, cukrem, chlebem, herbatą, masłem, ze składowymi częściami garderoby męskiej itd. – to jest wieczną tajemnicą. Każdy prawie przedmiot kupiony za pieniądze tyle istniał w świecie zjawisk rzeczywistych, o ile figurował w rachunku. Poza tym bytował tylko w imaginacji Judyma podsycanej przez niektóre ze zmysłów. Świec nabytych nigdy, literalnie nigdy nie było. Wstępując nocną porą w progi domowe doktor Tomasz zawsze laźł omackiem i nadaremnie szukał zapalek, lichtarza, lampy... Że jednak świece rzeczywiście w mieszkaniu egzystowały i płonęły, o tym świadczyła wielka obfitość kropel zastygłej stearyny nie tylko na lichtarzu, na podłodze, na obiciu kanapy, stołków, na prześcieradłach łóżka, ale także dziwnym zbiegiem okoliczności na ineksprymablach⁸⁷ i żakietach wiszących w szafie na klucz zamkniętej. Lampa była wiekuiście wewnątrz pusta, z upalonym knotem, ale za to niewątpliwie naftą pooblewana ze strony zewnętrznej i cuchnąca tym szlachetnym paliwem z odległości pięciu kroków, co w każdym razie wskazywało, że co kupiono, to wylewano ze

⁸⁷ *ineksprymable* – kalesony [przypis edytorski]

szczodropliwością. Cukru i bułek dr Tomasz nigdy w szafie nie znalazł, choćby się z głodu wił pod jej drzwiami, natomiast nie zamiecione okruszyny słały się wszędzie, a szczególnie w łóżku... Jedna poręcz wyściełanej otomany, kupionej za gruby pieniądz, wkrótce okryta została jakimś szczególniejszym tłuszczem, a druga uczerniona *szuwaksem* i zwalana błotem, jak to mówią, do cna. Wyobraźnia doktora widziała niby w biały dzień na jednym z wałków cennego mebla wypomadowaną głowę panny Zośki, a na drugim oparte teź Zośki *kopyta* (wyobraźnia widziała mianowicie *kopyta* – nie nogi). Stolik świeżo „na moje sumienie” politurowany, kiedy go kupowano w sklepie, był wkrótce zbiorowiskiem okrągłych śladów (wymownie świadczących o tym, że jednakże samowar doktorski produkuje znakomity wrzątek). Z początku dr Tomasz usiłował wytworzyć stosunek pełen życzliwości, braterski. Nim upłynął miesiąc, już walczył, a w listopadzie był zwyciężony i wzięty do niewoli. Odtąd, jeżeli nawet zastał Zośkę wylegującą się na kanapie z *kopytami* obarczonymi błotem, jeżeli nawet spostrzegał Walentową żłowiącą herbatę z arakiem przy stole obficie zastawionym jego wiktuałami, stosował jedynie możliwą aczkolwiek mało skuteczną metodę włoską: *guarda e passa*⁸⁸. Nie było innej rady... Zamykał się w swym „gabiniecie”, a resztę mieszkania oddawał *in direptionem*⁸⁹...

⁸⁸ *guarda e passa* (wł.) – spojrz i idź dalej (cytat z *Boskiej Komedii* Dantego). [przypis redakcyjny]

⁸⁹ *in direptionem* (łac.) – na rozgrabienie. [przypis redakcyjny]

W godzinach przyjęcia doktor Tomasz nie ośmielał się czytać książek. Siedział za swym stolikiem wyprostowany i czekał. Tak było we wrześniu, w październiku... Z czasem pozwolił sobie na czytanie gazet w pozie już to siedzącej, już leżącej. Przy końcu grudnia tegoż roku czytanie gazet odkładał w ciągu doby na godziny przyjęć, a po Nowym Roku zaczął znosić do gabinetu na te właśnie godziny rozległe utwory Zoli, Jokaja, Dumasa, Lama. W sieni zawsze o tej porze siedziała Walentowa na wyścielanym krzeselku, z nogami okręconymi jakimś grubym wołokiem. Z początku tak zwanej wizyty baba kaszłała, stękała, wzdychała na świadectwo czuwania – w środku stopniowo zacichała, a wkrótce potem dawało się słyszeć tęgie chrapanie. Bywały dni takie, że w ciągu drugiej części programu rozlegał się rumor i łoskot. Walentowa w trakcie drzemki zlatywała z chwiejnego krzesła. Po każdym takim wypadku doktor musiał jej dawać kopiejki na arak, gdyż przysięgała na wszelkie świętości, że to słabość z głodu i czczości tak nią rzuca o ziemię. Kilkakrotnie wzywano młodego eskulapa do mieszkańców domu w raptownych wypadkach zaśląbnięć, przeważnie poniedziałkowej natury. Raz w jesieni przyszedł stary introligator z sąsiedniej kamienicy, zadzwonił, zbudził Walentową i narobił istnego piekła. Judym badał go, stukał, pukał, wyginał, kładł na sofie, gniótl, oglądał ze wszystkich stron i wypuścił, rozumie się, bez pobrania honorarium. Po tym zdarzeniu nastąła cisza trwająca dobre dwa miesiące.

Pewnego dnia w marcu, znowu w godzinie przyjęć, dał

się słyszeć cichy głos dzwonka. Walentowa otworzyła drzwi i wpuściła małą, chudą damę w czerni, o twarzy wywiędłej, suchej i mizernej.

Przybyła spytała o doktora Judyma i powziąwszy wiadomość, że jest u siebie, weszła do gabinetu.

„Pacjentka, jak mi Bóg miły!...” – jął myśleć doktor Tomasz i doznał ciepłego uczucia na samą myśl o pierwszym rublu zapracowanym we własnym apartamencie.

Dama wśród ukłonów obustronnych zajęła miejsce i rozejrzała się po umeblowaniu.

– Pani dobrodziejka jest cierpiąca? – zapytał doktor.

– O, tak, panie konsyliarzu... Od lat, od całego szeregu lat...

– I jakież to cierpienie?

– Gdybyż to jedno! Cały szereg chorób, które inną osobę, mniej wytrzymałą, dawno by wpędziły do grobu.

– Ale główna, zasadnicza?

– Czy ja wiem, panie konsyliarzu. Zapewne wątroba...

– Wątroba... Otóż...

– Bo to jakaś duszność, bezsenność, kaszel, bóle...

– Więc są bóle? I to w tej okolicy?

– Ach, jakie bóle! Język ludzki wyrazić tego nie jest w stanie!

– Bóle... rozdzierające, uczucie rozdzierania, nieprawdaż?

– Tak, bywa i to. Nieraz budzę się rano, to jest, podnoszę się rano przepędziwszy noc bezsenną i jestem tak upadająca...

– Proszę pani, apetyt?

– Ale któż by na to wszystko zwracał uwagę, panie

konsyliarzu, któż by przykładał swoje cierpienia do tego, co znosi nieszczęśliwa ludzkość.

„Patrzajcież... – myślał Judym – a to co znowu?”

– Zapewne pan konsyliarz słyszał... – zaczęła dama poprawiając się na krzesle i przyciskając do piersi swoją torebkę – o naszym stowarzyszeniu, którego celem jest nawracanie dziewcząt, pojmuje pan konsyliarz, złego prowadzenia się.

Tu dama spuściła oczy i zaczęła patrzeć w kąt gabinetu.

– Nic a nic nie słyszałem... – rzekł Judym.

– Otóż... celem naszego stowarzyszenia jest – po pierwsze...

I jazda! Minęło pół godziny, trzy kwadranse, godzina...

Dama bez przerwy mówiła o celach stowarzyszenia. Na początku drugiej godziny zaczęła mówić o środkach, a właściwie o braku środków.

Gdy upłynęło mniej więcej sześć kwadransów od chwili rozpoczęcia tej dyskusji, nastąpiła wreszcie prośba o wsparcie zasiłkiem stowarzyszenia, które itd.

Doktor bez wahania wyjął rubla papierowego, położył go na stole i rozprostował palcami. Dama niezwłocznie wzięła datek, zapisała coś w karneciku i znowu wśród słów biblijnych, ukłonów, uśmiechów i dziękczynień wionęła za drzwi.

Walentowa po wyjściu kwestarki dostała wściekłego kaszlu. Doktorowi, gdy stał na środku gabinetu i świstał przez zęby, wydało się, że *grzmot*, który, rozumie się, podpatrywał przez dziurkę od klucza, pęka ze śmiechu, że się dusi i parska...

Takie były w krótkim zarysie dzieje początkowe kariery

doktora Judyma. Resztki funduszu zostawionego przez ciotkę wyczerpały się, kredyt u sklepikarzy był poderwany, a przyszłość nadchodziła mglista. Od chwili wypowiedzenia niefortunnej lekcji o pauperyzmie w salonach doktora Czernisza Judymowi było w świecie lekarskim nijako. Nie mógł się skarżyć na to (nie miał prawa), żeby ktokolwiek odsunął się od niego czy świadomie stronił, ale czuł dokoła siebie próżnię i wyzięble miejsce. Starsi i młodszy koledzy witali go, jak dawniej, uprzejmie; byli tacy, co może nawet niżej kłaniali mu się kapeluszami, ale w powietrzu drgała rada: bierz manatki, filozofie, i ruszaj w świat, bo tu nic nie wysiedzisz...

Doktor Tomasz rozumiał to sam znakomicie, że w organizmie żywym uczepił się jak obce ciało, które tamuje krążenie krwi pulsującej. Gdyby się był zbliżył do ludzi wybitnych, zasięgnął ich wskazówek, odwiedzał ich jako gość i domownik, stałby się wkrótce jednym z trybów tej maszyny i zyskał klientelę. Rozumiał to wszystko bardzo pięknie, wiedział, jak by być mogło, co by należało zrobić, ale dzikie myśli i uparte trzymanie się tego, co one już spłodziły, powstrzymywały go od zmiany trybu postępowania.

Zdecydował się iść drogą, którą sobie był obrał, no i szedł, rzecz prosta, w niezupełnie całych butach.

W tym czasie (przy końcu marca) wczesnym rankiem przybiegła Wiktorowa z wiadomością o mężu. Rozповідаła, jak co było, głosem z płaczu oślizgłym blisko godzinę, a później, wymieniwszy wszelkie szczegóły skrupulatnie, zabrała

się i odeszła do swej fabryki.

Doktor długo siedział w mieszkaniu, pełen myśli iście marcowych. Wszystko szło dziwnie źle, opacznie, piętrzyło się, jak zator kry na rzece, tamując bieg życia. Rozmyślał o tym, że musi obecnie pomagać bratowej, utrzymywać i ją, i całą rodzinę w zastępstwie Wiktora, gdyż zostawić ten obowiązek wyjątkowo na barkach biednej kobiety nie było możliwości. Tymczasem finanse były w stanie opłakanym. Pełen gorzkich myśli udał się Judym do swego szpitala. Wyszedł stamtąd wcześniej niż zwykle, czuł bowiem w sobie jakąś niemoc wewnętrzną przeszkadzającą mu w pracy. Ze wstrętem powlókł się do mieszkania Wiktora. Został tam tylko ciotkę, która coś pod oknem ścibała, i dzieci dokazujące w sąsiedniej izbie. Ciotka miała oczy przekrwione od płaczu, usta zacięte, nos jeszcze bardziej ostry. Przywitała go wzrokiem pełnym niechęci, prawie odrazy. Zawsze na niego krzywo patrzyła jako na pupila i spadkobiercę siostry swej, którą przed laty okropnymi słowami wyklęła... Teraz, widać, zawziętość wzmogła się i dosięgła ostatniej granicy.

Judym nie zwracał na starą uwagi. Usiadł w kącie i sennym okiem przypatrywał się izbom dotąd nie uporządkowanym. Widok zdziczałych dzieci nasunął mu myśl, żeby teraz, kiedy nic lepszego nie ma do roboty, zająć się edukacją tych siostrzeńców. Wziął na spytki chłopca i przekonał się, że urwis czyta jako tako, choć z ciężkim stękaniem, ale poza tym ani be, ani me. Owa sztuka czytania było to dzieło ciotki, która teraz spod oka patrzyła na praktyki Judymowe. Karola zaledwie umiała

rozdzielić litery.

Był prawie zmrok, kiedy doktor stamtąd wyszedł. Brnął z nastawionym kołnierzem, ze wzrokiem upadłym, pełen wewnętrznej nudy i lenistwa. Odruchowo, nie widząc ani ludzi, ani ulic, żeglował w stronę cukierni, gdzie czasami czytywał dzienniki. Na rogu, szybko skręcając w dzielnicę ludniejszą, zetknął się z doktorem Chmielnickim.

– O, cóż to kolega tak siarczyście maszeruje? – zawołał grubas – o małościę mię nie uszkodzili...

– Ja? Ale gdzież tam – idę...

– Widzę, widzę – do chorego.

– Akurat! – parsknął Judym na całe gardło.

– Nie do chorego? – spytała chluba miasta Chmielnika z odrobiną ironii w głosie.

– Nie mam wcale chorych! – rzekł Judym i wyciągnął rękę na pożegnanie.

– Zaraz, czekajcie chwileczkę! Jeżeli wam do zdechłaków nie pilno, to dlaczegoż nie uciąć gawędki?

– Kiedy zimno. Chodź kolega na kawę, to będziesz gadał, a ja posłucham.

– Dobra! Idę na świeżego „Kuriera”, akurat mam odrobinę czasu.

Poszli ulicą i wkrótce zasiedli przy marmurowym stoliku w pięknej cukierni. Dr Chmielnicki wyładowywał ze siebie półgłosem rozmaite świeże *kawy*, z wielkim obiektywizmem wciągając do tej serii *kawy*, gdzie jego rodacy prezentowali się

nieszczęśliwie. Judym śmiał się z anegdot, ale tym uśmiechem warg, w którym oczy nie biorą żadnego udziału i który zbyt przeczulona subtelność narratora mogłaby poczytywać za impertynencję. W trakcie jednej ze szczególnie jakoby paradnych historyjek „Czerkies” znienacka zapytał:

– Ale, ale, może byście wyjechali na prowincję?

– Czego? – krzyknął dr Tomasz.

– Nic, nic! Ja tu mam misję wyszukania asystenta dla mojego kolegi Węgliczowskiego, który jest dyrektorem zakładu w Cisach. Jeśli wy nie chcecie, to trzeba będzie szukać kogoś innego. Na śmierć zapomniałem...

– No, to ja nie pojedę na prowincję.

– To nie jest jakaś ordynarna prowincja, jakieś Kurozwęki (choć to stamtąd niedaleko) ani tym podobny Łągów. Uchowaj Boże!

– Nie jadę do Kurozwęk ani nawet do Łągowa.

– Ach! Czy ja was biorę za kołnierza i ciągnę do Łągowa? Mówię tylko, *relata refero*⁹⁰. Niezwłocznie obraza! Rozumie się, że wy nie możecie tam jechać. Jak to? Być w Paryżu u Lucasa Championiera⁹¹ i potem jechać do Cisów. To przecie *nonzens*.

– Spodziewam się, że to nie tylko „nonzens”, ale nadto nonsens.

⁹⁰ *relata refero* (łac.) – zwrot przysłowiowy; powtarzam to, co mi powiedziano. [przypis redakcyjny]

⁹¹ *Lucas-Championiere, Just-Marie-Marcellin* (1843–1913) – znakomity chirurg francuski. [przypis redakcyjny]

– Bez wątpienia. No, ale nie idzie za tym, żebyśmy nie mieli deliberować nad kwestią obsadzenia asystentury u tego kochanego „Węglicha”.

– Co to znaczy słowo „Węglich”?

– Węgliczowski jest moim kolegą z Dorpatu. Mieszkaliśmy razem. Tęgi lekarz... mógłby z niego być, gdyby nie to, że ten człowiek zawsze wszystko brał lekko. Nie lubi czytać – ot, co jest. A od chwili znanego przewrotu w medycynie warszawskiej, kto nie czyta, kto nie pozuje na uczonego, ten musi szukać jakichś Cisów. Znasz kolega Cisy?

– Nie znam. Słyszałem o tym coś... To w Kieleckim, zdaje się...

– Aj, „zdaje się”... Jak można takich rzeczy... „Cudze rzeczy znać dobrze, a swoje potrzeba!”⁹²

– Kolega mi aplikuje niniejszą sentencję w sensie admonicji⁹³ czy tylko jako wzór krajowego przysłowia?

– Doskonale, paradnie! Ale wracając do „Węglicha”...

– Ach, z tym „Węgliczem”...

– Ależ posłuchajcie! Wy tam młodszy znacie się między sobą, łatwiej możecie wskazać odpowiedniego człowieka. Miejsce wcale niezłe. Dają tam sześćset rubli...

– Fiu-fiu...

⁹² *Cudze rzeczy znać dobrze, a swoje potrzeba* – w *Przysłowiach mów potocznych* Andrzeja Maksymiliana Fredry (1621–1679) przysłowie to brzmi następująco: „Cudze wiedzieć rzeczy ciekawość jest, a swoje potrzeba”. [przypis redakcyjny]

⁹³ *admonicja* – napomnienie, nagana. [przypis redakcyjny]

– Pyszny lokal i całkowite utrzymanie.

– A cóż trzeba robić?

– Zwyczajne rzeczy. Głupstwa. Latem zjeżdża się dosyć chorych, więc pospołu z innymi lekarzami trzeba się nimi zająć. Kąpiele, uważacie, wanny, natryski – o, takie rzeczy. Figle w gruncie rzeczy, a w okolicy praktyka jak sto tysięcy diabłów. To nie jest byle co. Może kto z waszych znajomych skusi się na te Cisy.

Judym zamyślił się, kazał sobie podać jeszcze jedną filiżankę kawy, wypił ją duszkiem, odstawił i rzekł do Chmielnickiego:

– No, dobrze, ja mogę jechać na to miejsce.

– A co? Nie powiedziałem? Pyszna myśl!

– Gdzież jest ten doktor Węglichowski?

– Jest właśnie w Warszawie i jutro zgłosi się do was.

– No, to już może ja do niego?

– A dlaczego? Przyjdzie do was. O której godzinie?

– Między piątą a siódmą.

– Tam u was, na Długiej ?

– Na Długiej.

– Dobra!

Dr Chmielnicki zapisał sobie coś w notesiku patrząc do jego wnętrza lewym okiem jak przez lupę, złożył gazetę na sąsiednim stoliku, gdzie właśnie jakaś „piękna Iza” szczyrzyła zęby do wymokłego lowelasa, i podał Judymowi prawicę.

– A więc do jutra! Świetna myśl...

– Zobaczymy... – mruknął doktor Tomasz zwieszając głowę.

Gdy dr Chmielnicki zniknął, pograżył się w rozmyślaniach:

„Tak, tak... Trzeba dokądś iść, to darmo. Wiktorowa się nie wyżywi, a i ja czyż długo bym potwał z taką sumą pacjentów jak obecnie. Pojadę. Może nie na zawsze, może na rok, na dwa. Może gdy wrócę, będzie, do stu tysięcy diabłów, co innego”.

Za powrotem do domu, w nocy i następnego dnia bez przerwy myślał o wyjeździe. Żałował Warszawy całym sercem. Porzucenie jej było dla niego tym przykrzejsze, że sam był z urodzenia łykiem, mieszczuchem, znającym wieś z wycieczek letnich, z romansów, opowiadań ustnych, z rysunków. O tym, jak to się zimą mieszka wśród tych pól olbrzymich, po których zamieć tańczy, nie myślał nigdy. Teraz to wszystko snuło mu się przed oczyma i przynębiało.

Nazajutrz o godzinie piątej zasiadł w swym fotelu i spokojnie oczekiwał kataklizmów mających nastąpić. Minęły zaledwie dwa kwadranse, gdy dzwonek mocno szarpnięty zadrżał jakby ze strachu i począł krzyczeć na starą o roztwieranie drzwi co rychlej. Wszedł do mieszkania i zapytał o Judyma pan niskiego wzrostu w zniszczonych bobrach. Gdy doktor Tomasz wybiegł na jego spotkanie, usłyszał oczekiwane nazwisko:

– Węglichowski.

Był to człowiek lat pięćdziesięciu kilku, niski, bodaj za mały, chudy, kościsty. Należał do rasy jędrnych, zdrowych, zwinnych starszków, którzy prawie nie zmieniają się w ciągu piętnastu, dwudziestu lat od czasu, gdy posiwieli. Twarz miał przyjemną, o rysach regularnych, ze skórą rumianą koloru wypieczonego

chleba. Z natury krótka, kędzierzawa broda, bieluteńka jak mleko i także wąsy zdobiły ją harmonijnie i dopełniały mile barwę twarzy, nadając obliczu wyraz szczególnego wdzięku. Mimo woli witało się tę głowę myślą: „Jaki to przystojny, jaki ładny staruszek!” Włosy na jego skroniach, zupełnie tak samo białe jak broda, srebrzyły się dokoła łysiny. Nade wszystko uderzały oczy. Właśnie uderzały. Czarne jak tarki, błyskotliwe, mieniły się od postrzeżeń, znamionując rozum, a raczej spryt pierwszorzędny. Dr Węgliczowski ubrany był w skromne, czarne suknie, które na nim dziwnie dobrze leżały. Jego zwykły stojący kołnierzyk, czarny, niemodny krawat były w harmonijnej zgodzie z całą postacią, a jednocześnie wskazywały na dbałość o siebie daleką od elegancji, na czyściuchostwo, które stało się przywarą, nałogiem, prawem.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.